

7... *Ewa wzywa 07...*



**Jerzy Edigey**  
**AS TREFL**

---



ISKRY

*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

---

Jerzy Edigey

AS TREFL

---



ISKRY · WARSZAWA · 1978

---

*Wszystkie fakty i wszystkie daty są autentyczne. Zmienione zostały tylko trzy nazwiska. Opowiadanie „As trefl” nie jest jednak ani streszczeniem aktu oskarżenia, ani stenogramem z rozprawy sądowej.*

*Autor*

---

## AS TREFL PO RAZ PIERWSZY

---

Ranek był pochmurny. Zanosilo się na deszcz. Z planowanego spaceru w góry nic więc nie wyszło. Ale około godziny jedenastej, jak to w Zakopanem często bywa, niebo się nagle rozpo-godziło. Giewont znowu lśnił w słońcu. A my, całe towarzystwo zebrane w małym pensjonacie, wylegliśmy na taras. Wygodnie ulokowani na leżakach, niektórzy jeszcze okryli sobie nogi kocami, wystawiliśmy twarze na promienie październikowego słońca.

Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat. Wreszcie zahaczyła o parapsychologię i natychmiast rozgorzał spór pomiędzy inżynierem Korycińskim a adwokatem Ruszyńskim. Inżynier był entuzjastycznym zwolennikiem tej nowej nauki.

— Drzemią w nas siły — tłumaczył — z których nie zdajemy sobie sprawy. Pięć zmysłów to za mało. Każdy z nas ma ich znacznie więcej, lecz mało kto potrafi to sobie uświadomić, a jeszcze mniej ludzi umie z nich korzystać. Właśnie parapsychologia nie tylko wyjaśnia nam obecnie zjawiska na pozór niezwykle, ale także nauczy nas w przyszłości posługiwać się tymi siłami. Wówczas tak dziwne rzeczy jak zatrzymywanie czy uruchamianie zegarów na odległość lub nawet zginanie łyżek za pomocą lekkiego dotyku palców będzie drobnostką. Kto wie, czy nie będziemy mogli obywać się bez radia i telegramów, bo osiągniemy umiejętność nawiązywania łączności telepatycznie.

— Bzdury! — przerwał Miecio Ruszyński — kompletne bzdury. Wszystko czym zadziwia świat Uwe Gelert albo jakiś tam Japończyk, to są jedynie kuglarskie sztuczki. Zapewniam was, że nasz

polski „Nemo”, gdyby chciał, potrafiłby tamtych magików zapędzić w koziego róg. Stać go na bardziej efektowne tricki, ale jest przy tym na tyle uczciwy, że nie przystraja się w piórka czarnoksiężnika.

— Sam widziałem w telewizji zachodnioberlińskiej — zaperzył się inżynier — jak Gelert pokazywał te, pogardliwie nazywane przez mecenas „kuglarskie sztuczki”. Seans odbywał się pod kontrolą uczonych i w pełnym świetle. O oszustwie nie mogło być mowy. Co dziwniejsze, wielu widzów dzwoniło do telewizji zawiadamiając, że w ich mieszkaniach powtórzyły się zjawiska widziane na małym ekranie. U tych ludzi także łyżki powyginały się, pomimo że Gelert oddalony był od ich domów o dziesiątki czy nawet setki kilometrów.

— A ja nie wierzę — upierał się adwokat. — Nie brakuje ludzi, którzy dla chwilowego rozgłosu sami gotowi byli powyginać za pomocą płaskoszczypów czy innych narzędzi własne łyżki i potem dzwonić do telewizji. Niektórzy mogli to zrobić pod wpływem autosugestii, nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią.

— Mecenas jak ten niewierny Tomasz. Czego oświadczenie nie dotknie palcem, w to nie uwierzy.

— Żeby pan wiedział, inżynierze — potaknął Ruszyński. — W naszym zawodzie spotyka się wiele różnych „cudów”. Zdarzają się niezwykle historie. Nie we wszystko można i należy wierzyć.

— A jednak istnieją zjawiska wywoływane przez ludzi obdarzonych specjalnymi zdolnościami, których zwykła nauka w obecnej chwili jeszcze nie umie wytłumaczyć.

— Dlaczego więc ci pańscy cudotwórcy nigdy nie pozwalają filmować swoich doświadczeń?

— To jasne. Terkot aparatury filmowej. Lampy. Reflektory. Te przygotowania tak ich po prostu rozpraszają i tak demobilizują, że nie są oni w stanie uruchomić swoich tajemnych sił.

— Głupstwo! — Miecio był równie upartym niedowiarkiem, jak inżynier ontuzjasta. — Kiedy byłem bardzo młodym chłopcem, tuż po pierwszej wojnie światowej, cała Warszawa pasjonowała się spirytyzmem. Mój ojciec także. Cuda opowiadał zwłaszcza o pewnym medium. Nazywał się czy też używał pseudonimu „Guzik”. Ten człowiek, trzymany z obydwu stron za ręce, wywoływał duchy zmarłych, przesuwiał meble. Seanse odbywały się w zupełnej ciemności, a on potrafił oświetlić pokój jakimś niezmiernym światłem. Słowem robił wiele rzeczy bardziej niepojętych niż Gelert. Szybko też stał się bożyszczem nie tyle Warszawy, co „Warszawki”. Za udział w seansach spirytystycznych brał ogromne honoraria. Te seanse odbywały się także pod kontrolą ówczesnych uczonych. Psychologów, lekarzy, inżynierów. Dopiero profesor Ochórowicz zdemaskował oszusta, co zresztą znakomicie podziało na opinię publiczną. Moda na wirujące talerze i stukające stoliki od razu się skończyła.

Koryciński szykował się do ostrej repliki, ale podpułkownik Krzyżewski przerwał dyskusję.

— Nie wierzę w cuda ani w jakieś nieznanne zjawiska parapsychologiczne — powiedział — ale wierzę w przypadek. Są przypadki tak dziwne, że naprawdę trudno w nie nie uwierzyć. Weźmy choćby katastrofy samolotowe. Statystyka powiada, że w ciągu roku ginie w takiej katastrofie jeden człowiek na dziesięć milionów ludzi. A jednak wszyscy chyba znamy przynajmniej jednego człowieka, którego taki los spotkał... A są jeszcze dziwniejsze zdarzenia...

Podpułkownik urwał, jak gdyby się bał, że powiedział za dużo. Znaliśmy dobrze Krzyżewskiego. Wiedzieliśmy, że jest przemilnym gawędziarzem, a w swojej długoletniej praktyce oficera milicji rzeczywiście zetknął się z niejedną, niecodzienną sprawą.

— Słuchamy, pułkowniku, niech nam pan opowie o jakiejś tego właśnie rodzaju niezwyklej sprawie — proszę.

Nawet dwaj adwersarze Koryciński i Miecio Ruszyński przyłączyli się do mojej prośby. Zresztą podpułkownika nie trzeba było długo namawiać. Poprawił się w swoim leżaku i zaczął.

— To rzeczywiście jedna z najdziwniejszych spraw, z którą najpierw zetknąłem się jako obserwator, by później w niej uczestniczyć. Naturalnie był to zwykły przypadek. Ale taki, jaki być może nigdy przedtem się nie zdarzył. Chodzi o zwykłą kartę do gry. As trefl.

— Postawił pan dużą sumę w pokera? — zapytał Boguszewski, o którym mówiono, że pewnego razu grał przez czterdzieści trzy godziny w „poka” bez przerwy. I co ciekawsze, podobno wstał od stolika z pokażną gotówką.

— Nie. To nie chodzi o grę w karty. W 1954 roku przydzielono mnie do komisariatu kolejowego MO w Krakowie. Byłem wtedy świeżo upieczonym podporucznikiem milicji. Właśnie ukończyłem szkołę, która mieściła się w tamtych latach w Słupsku. A w tym komisariacie otrzymałem moją pierwszą posadę. Praca była nieskomplikowana i dość, szczerze mówiąc, nudna. Wylapywanie jakichś drobnych złodziejasków, przeganianie z placu przed dworcem „panienek”, które tam wtedy czatowały na przyjezdnych. Zamykanie chuliganków rozrabiających w poczekalni dworcowej. Czasami likwidowanie zbyt gorących kłótni przed kasami biletowymi. Wysyłanie pijaczków do izby wytrzeźwień... Większe sprawy, na szczęście dla młodego i niedoświadczonego oficera MO, nie zdarzały mi się.

Do grona pracowników komisariatu należał sierżant Jan Siatka. Do milicji przyszedł z wojska, gdzie był zawodowym podoficerem. Już wtedy o tym Siatce źle mówiono. Podobno zbyt często lubił zaglądać do kieliszka, ale sprawy personalne naszego komisariatu nie należały do mnie.

Pewnego dnia, a właściwie wieczorem, milicjanci patrolujący dworzec przyprowadzili do komisariatu młodą Cygankę z małym dzieckiem. Nachalnie zaczepiała podróżnych, zebrała o pieniądze na jedzenie.

Przesłuchana zeznała, że chce jechać do męża, gdzieś za Rzeszów, gdzie rzekomo znajdował się jej tabor. Obydwie, zarówno ona jak i jej córeczka, były głodne. Opowiadała, że zgubiła woreczek z pieniędzmi. Wyglądało to na prawdę. Nigdy później, w mojej przecież długiej praktyce milicyjnej, nie spotkałem Cygana lub Cyganki, którzy istotnie byłiby bez grosza jak wtedy ta kobieta.

— Cóż było robić? — ciągnął dalej podpułkownik. — Posłałem kogoś z milicjantów po mleko dla dziecka i bułki, jeszcze za swoje pieniądze kupiłem jej bilet do Rzeszowa. Cyganka z wdzięczności za poczęstunek wyciąg-

nęła talię kart i zaczęła nam wszystkim wróżyć.

— Sprawdziło się? — zapytał inżynier.

— U mnie na pewno nie. Ot, zwykle bujdy. Takie o dobrej nowinie, liście w drodze, o blondynce, o wielkim szczęściu, które mnie czeka i tak dalej. Mniej więcej to samo, tylko trochę w innym układzie, Cyganka przepowiadała każdemu z nas. Słuchaliśmy tego i zaśmiewaliśmy się z wróżb. „Połóż na stole pięć złotych, a Cyganka prawdę ci powie”, próbowała naciągać na forszę. Nie muszę dodawać, że bezskutecznie.

Pociąg do Rzeszowa odchodził dopiero późnym wieczorem. Dziecko tymczasem usnęło na ławce. Nie mieliśmy serca go budzić, więc tolerowałem obecność Cyganki w poczekalni komisariatu. Małej, czarnowłosej Cyganczce było przecież na tej twardej ławce wygodniej, niż gdzieś w kącie na podłodze w zadymionej poczekalni dworcowej.

Pamiętacie chyba, jaki w tych latach panował tłok na dworcach i w pociągach? O zdobyciu miejsca siedzącego w poczekalni nie było nawet co marzyć. Setki ludzi koczowało siedząc na walizkach albo po prostu na kawałku gazety rozłożonej na podłodze. Bez przesady, cała Polska wtedy podróżowała.

— Tak, tak — przytaknął Miecio Ruszyński — jeszcze nie skończyła się wielka wędrówka ludów. Ludzie poszukiwali swoich rodzin, szukali miejsca dla siebie. Jedni wędrowali na ziemię odzyskane, drudzy wracali stamtąd w stare strony.

— A i pociągów było dużo mniej — dorzucił inżynier — jeździły dłużej niż dzisiaj. Podróż z Krakowa do Warszawy trwała pośpiesznym pociągiem około ośmiu godzin lub może dłużej.

— Jan Siatka — podjął Krzyżewski — miał tego wieczoru także służbę. Nie pamiętam gdzie. Może patrolował tory, może pilnował porządku na rampie wylądowczej, dość że w komisariacie go nie było. Nadszedł dopiero wtedy, kiedy Cyganka kończyła już nam wróżyć. Był w świetnym humorze. Dzisiaj bym poznał, że pił w czasie służby. Wtedy nie zwracałem na to uwagi. A może młodziutki podporucznik wołał nie zwracać uwagi?

— Raczej to drugie — dorzucił adwokat.

— A więc Siatka hałaśliwie powitał wtedy Cygankę:

„No, co mi nakłamięsz, Cyganicho?”

„Cyganka tylko prawdę ci powie. Cyganka nigdy nie kłamie”.

„Znam ja waszą prawdę. No, mów” — roześmiał się sierżant.

Cyganka wyciągnęła w jego stronę zatłuszczoną talię kart. Rozłożyła ją w kształcie wachlarzyka.

„Wyciągnij jedną kartę i połóż na stole. To będzie twój los”.

Sierżant wyrzucił na stół kartę. Asa trefl!

„As trefl to śmierć!” — powiedziała — „nie będę ci nic mówić”.

„Nie chcesz, to nie. Prosił nie będę. A w twoje bajania i tak nie wierzę”

— Siatka machnął ręką i wziął się za pisanie jakiegoś meldunku. Cyganka tymczasem obudziła dziecko, otuliła je w chustkę i wyszła z komisariatu, chociaż do odejścia pociągu do Rzeszowa brakowało przynajmniej półtorej godziny. Nigdy więcej jej nie widziałem. Naturalnie o tym całym, błahym zdarzeniu, szybko zapomniałem. Cyganka rzeczywiście była zwykłą, biedną Cyganką, a nie jak to często bywa w różnych naiwnych kryminałach groźnym, w ten sposób ukrywającym się przestępcą.

— Pożyczonych na bilet pieniędzy panu nie odesłała — uśmiechnął się adwokat.

— Nigdy na to nie liczyłem. Wkrótce zresztą rozstałem się z pracą w kolejowym komisariacie MO. Przeniesiono mnie do Komendy Wojewódzkiej, ale nie na jakieś inne odpowiedzialne stanowisko. Najpierw coś tam podliczałem w statystyce. Dopiero kiedy mi, na epoletach przybyła nowa gwiazdka, awansowałem na zastępcę kierownika samodzielnego referatu do spraw ludzi zaginionych.

— Szybko pan się wzbijał w górę, pułkowniku.

— To tylko tak z боку wygląda na duży awans i poważne stanowisko. W rzeczywistości cały samodzielny referat składał się z dwóch osób: kierownika i jego zastępcy. Nawet maszynistki nie mieliśmy. Tę odpowiedzialną funkcję wtedy właśnie ja spełniałem, nie przecpracowując się zresztą.

— Po raz pierwszy słyszę — roześmiał się doktor — żeby milicjant przyznawał się do przestojów w robocie! Bo dotychczas we wszystkich kryminałach czytamy o nękanii pracowników. Jak to tych biednych pracodawców ludzi zawsze odwołują z urlopów. Całymi tygodniami żony nie widują mężów i w końcu zrozpaczone albo się z nimi rozwodzą, albo znajdują innych pocieszycieli. Bohaterskich obrońców prawa ratuje zwykle całe morze mocnej czarnej kawy i nie mniejsza ilość koniaku. Zawsze francuskiego!

Podpułkownik nie zareagował na tę wyraźną zaczepkę. Kontynuował swoją opowieść.

— Z byłymi kolegami, z „kolejówkami”, spotykałem się raczej przypadkowo. Od nich dowiedziałem

się, że Jan Siatka został usunięty z milicji za pijaństwo. Zarzucono mu także, że ścigał „haracz” od panienek, ale tego mu nie dowiedziono i do sprawy karnej nie doszło. Zresztą Siatki nigdy więcej nie widziałem. Nie słyszałem o nim ani na jego temat nie rozmawiałem. Dopiero po czterech latach... No, ale kolejno. Wtedy to w grudniu 1958 roku głośna stała się w Krakowie tajemnicza sprawa oznaczona w aktach kryptonimem „Złota Doxa”.

— Pierwsza wielka sprawa — podrzucił Miecio — naszego asa milicji.

— Wcale nie — tym razem roześmiał się podpułkownik — daleko mi było jeszcze do tej „pierwszej wielkiej sprawy”. W dochodzeniu „złotej Doxy” nawet nie uczestniczyłem, chociaż znam tę sprawę doskonale.

— Czy wiązała się ona z tym sierżantem, Janem Siatką, i z asem, trefl? — dopytywał się inżynier.

— Panowie — powiedział podpułkownik — bądźcie cierpliwi! I na asa trefl przyjdzie kolej. Na razie mamy historię „złotej Doxy”.

---

## ZŁOTA DOXA

---

Dziewiątego grudnia 1958 roku, w godzinach popołudniowych, do dzielnicowej komendy MO zgłosił się obywatel Prochal. Z jego bezładnego opowiadania — był bardzo zdenerwowany — wynikało jasno, że w mieszkaniu Prochala przy placu Na Groblach popełniono morderstwo. Kiedy Prochal, zatrudniony w jednym z przedsiębiorstw budowlanych Krakowa wrócił po pracy do domu, znalazł tam zwłoki żony zamordowanej w bestialski sposób.

Przybyła na miejsce milicja rzeczywiście zastała w mieszkaniu straszny widok. Na podłodze leżała Bronisława Prochalowa. Miała rozbity tył głowy. Narzędzia zbrodni nie trzeba było daleko szukać. Masywna butelka po winie znajdowała się tuż obok zwłok. Ale morderca nie zadowolił się jedynie uderzeniem. Najwyraźniej bał się, że swoją ofiarę tylko ogłuszył i dla pewności ścisnął jej gardło pętlą zrobioną z ręcznika. To mu także nie wystarczyło. Do wanienki znajdującej się w kuchni nalał wodę i zanurzył w niej głowę zamordowanej.

Wysnuć pierwszego wniosku z tej zbrodni nie

przedstawiało trudności: ofiara знаła mordercę. Bez obawy wpuściła go do mieszkania. Może nawet razem pili wino? Choć w kuchni nie znaleziono brudnych kieliszków lub szklanek. Zresztą w tym domu pustych butelek nie brakowało... Kiedy Bronisława Prochalowa na chwilę odwróciła się tyłem do swojego zabójcy, wtedy on chwycił butelkę i zadał straszny cios.

Pozornie wydawało się, że morderstwa dokonał „amator”. Jednakże brak jakichkolwiek śladów świadczył o tym, że zostały one starannie zatarte. Zabójca musiał wiedzieć dobrze o tym, że najmniejszy ślad, pozostawiony na miejscu przestępstwa, może nabrać wagi rozstrzygającego dowodu. Ludzie z tak zwanego marginesu społecznego nabywają te wiadomości w więzieniach, a przynajmniej w kontaktach z zawodowymi kryminalistami. Mordercą był ktoś ze świata przestępczego.

Rozpoczęły się normalne czynności dochodzenia milicyjnego. Prowadziła je ekipa z Komendy Miejskiej. Fotografowano zwłoki i całe miejsce zbrodni. Poszukiwano, zresztą całkowicie bezskutecznie, choćby najbardziej nikłego odciska palców. Stanowiło to nie lada zagadkę. Trudno przypuszczać, aby morderca, gość Prochalowej, nie zdejmował rękawiczek w czasie swoich odwiedzin. Raczej pierwszy cios zadał trzymając narzędzie mordu gołymi rękoma, a później starannie usunął wszystkie odciski palców i dalej już operował w rękawiczkach. Nie zdołałby chyba tak dokładnie usunąć śladów w pładrowanym mieszkaniu.

Przeprowadzono wywiad środowiskowy. W tej okolicy miasta, zamieszkaną raczej przez biedotę, Prochalowie uchodzili za bogaczy. On jako „budowlany” zarabiał dobrze. Przemysłna małżonka zbierała butelki, makulaturę i różnego rodzaju złom. Składy skupujące te przedmioty doskonale znały handlarke. Przynajmniej raz w tygodniu była ich klientką i inkasowała spore sumy za dostarczony towar.

W kołach znajomych krążyły legendy, że Prochalowie wszystkie oszczędności lokują w złocie. Było w tym nieco prawdy. W mieszkaniu milicja znalazła dość zresztą skromną biżuterię i parę zegarków.

Skarby te ukryte były w kuflu do piwa stojącym na kredensie. Stanisław Prochal stwierdził, że prócz tych kosztowności żona miała jeszcze gotówkę w wysokości około trzech tysięcy złotych i największy „skarb” — złoty zegarek szwajcarskiej firmy „Doxa”. Zegarek i pieniądze Prochalowa trzymała w kredensie i one zniknęły bez śladu.

A zatem dochodzenie potwierdziło, że morderstwa dokonano na tle rabunkowym. Przestępca po prostu nie znalazł reszty kosztowności. Szukał we wszystkich zakamarkach, także w ulubionym schowku kobiet, pod biclizną w szafie. Nie przypuszczał, że biżuteria znajduje się na samym wierzchu. W kolorowym kuflu na kredensie. Tam w ogóle nie zajrzał.

Morderca nie zdradzał żadnego pośpiechu. Mieszkaniec przeszukiwane było metodycznie, mebel po meblu. Znajdujących się w szafie i w szufladach rzeczy bandyta nie wyrzucał na podłogę, jak to robi przy plądrowaniu, ale pozostawiał na swoim miejscu. Jedynie pootwierane drzwi i powyciągane szuflady pozwalały zorientować się, że niedawno przeprowadzono tu rewizję.

Ten brak pośpiechu utwierdził milicję w przekonaniu, że przestępca dobrze znał zwyczaj tego domu. Wiedział, że stary Prochal i jego syn, Kazimierz, są o tej porze w pracy i nie zjawiają wcześniej niż po godzinie trzeciej po południu. Lekarz milicyjny ustalił, że zbrodni dokonano pomiędzy jedenastą a dwunastą w południe i raczej bliżej jedenastej.

Przesłuchiwani mieszkańcy tego domu przy placu Na Groblach zeznali, że nie widzieli nikogo obcego, kto by się kręcił na klatce schodowej. W ogóle nie widzieli i nic nie słyszeli.

Jeszcze jedna okoliczność była co najmniej zagadkowa. Klucze! Do mieszkania Prochałów istniały trzy komplety kluczy. Jeden z nich miał Stanisław Prochal, drugi, jego syn Kazimierz, trzeciego używała Bronisława Prochalowa. Na kółku poza kluczami do drzwi wejściowych wisiały także klucze do piwnicy i do szafy.

Stanisław Prochal zeznał, że po powrocie do domu najpierw spróbował, czy drzwi wejściowe nie są otwarte, bo żona zazwyczaj ich nie zamykała, kiedy była w mieszkaniu. Widząc, że klamka nie ustępuje, zadzwonił, ponieważ nie chciało mu się szukać kluczy po kieszeniach, a gdy i to nie pomogło, Prochal sięgnął po swoje klucze i w ten sposób dostał się do mieszkania, gdzie w kuchni zobaczył zamordowaną żonę.

Otwarte drzwi do szafy i zamknięte mieszkanie wskazywały, że morderca posługiwał się pękiem kluczy Bronisławy Prochalowej. Ale ta sprawa uszła jakoś uwagi milicji dokonującej oględzin. Przy pierwszym przeszukaniu mieszkania kluczy nie znaleziono. Protokół nic o tym nie wspomina. Także milicjanci, którzy później byli przesłuchiwani na tę okoliczność, nie przypominali sobie,

czy klucze Prochalowej widzieli i gdzie je widzieli.

Natomiast Stanisław Prochal już w parę dni po morderstwie zeznał, że klucze używane przez żonę znalazł w jednej z szuflad kredensu. Nie umiał jednak powiedzieć dokładnie, czy zauważył je od razu po wykryciu zbrodni czy też w parę dni później. Była to bardzo istotna okoliczność, która mogła poważnie przyczynić się do wykrycia zbrodniarza. Jeśli klucze znajdowały się od początku w kredensie, znaczyłoby to, że morderca rozporządzał dodatkowym, czwartym kompletem. A więc był człowiekiem na tyle zaprzyjaźnionym z którymś z członków z rodziny Prochałów, że mógł bez wzbudzenia podejrzeń postarać się o odciski tych kluczy i następnie dorobić ich duplikaty.

Jeśli natomiast klucze znalazły się na swoim miejscu dopiero w kilka dni po zbrodni, świadczyłoby to, że przestępca odważył się złożyć ponowną wizytę w domu swej ofiary.

Stanisław Prochal nie mógł jednak podać pełnej listy ludzi, którzy odwiedzili jego mieszkanie po wykryciu zbrodni. Zarówno on, jak i jego syn, a także Bronisława Prochalowa mieli wielu znajomych. Znała ich cała okolica. Toteż prawdziwe tłumy zjawiały się w mieszkaniu Na Groblach, aby rodzinie zmarłej złożyć kondolencję i dowiedzieć się, „jak to było naprawdę i czy milicja coś wykryła”?

Ale milicja niczego niestety jeszcze nie wykryła. Na pewien trop mogły naprowadzić zeznania młodego Prochala.

Ten dwudziestotrzyletni mężczyzna miał zamiar w najbliższym czasie założyć własną rodzinę. Ślub miał się odbyć w nadchodzącym karnawale, w którąś z niedziel stycznia. Jak to często bywa, narzeczony przechwalał się na prawo i lewo, jakie to wspaniałe wesele matka mu wyprawi. Z upodobaniem powtarzał, że Bronisława Prochalowa przeznaczyła na tę uroczystość trzydzieści tysięcy złotych, a rodzina panny młodej, jego przyszłej żony, nie chciała być gorsza i także chciała się „pokazać”.

Co to miał być za ślub! Jak Groble Groblami takiego weseliska jeszcze w tej okolicy miasta nie widziano.

Niewykluczone, że właśnie przechwałki młodego człowieka dotarły do uszu mordercy, który postanowił zawładnąć tą okazałą sumą i nie cofnął się nawet przed popełnieniem zbrodni.

Prawda była o wiele skromniejsza.

Bronisława Prochalowa twardą ręką dzierżyła rządę w domu i wcale nie zamierzała wysupiać

wszystkich oszczędności jedynie dlatego, że syn postanowił zmienić stan cywilny. O, co to, to nie! Nie odmawiała finansowego udziału w tej uroczystości, w przeciwnym razie „straciłaby twarz” u sąsiadów, ale zapowiedziała, że da trzy tysiące złotych i ani grosza więcej. A jeśli to za mało, niech dokładają solidarnie państwo młodzi, bo oboje pracują i zarabiają, oraz rodzice panny młodej.

Trzy tysiące złotych schowane w kuchennym kredensie były przeznaczone na to weselisko. Ponadto syn miał otrzymać od rodziców ślubny prezent. Akurat tę złotą „Doxę”. Nie, żeby ją nosił na rękę. Broń Boże! Miał przeciwie swojego „Poliota”. Ale jako zaczątek przyszłych oszczędności na własne mieszkanie.

A pieniądze i „Doxa” zniknęły bez śladu.

---

## W BIAŁY DZIEŃ BEZ ŚLADU GINIE CZŁOWIEK

---

W dniu dwudziestego szóstego marca 1959 roku do milicji zgłasza się młoda kobieta, Zofia Myszkowa. Składa meldunek, że jej mąż, Wojciech Myszkowski, zatrudniony jako kierowca przy budowie Nowej Huty, nie przyszedł z pracy do domu, nie zjawił się nawet na noc i następnego dnia rano nie stawiał się również w przedsiębiorstwie.

Początkowo pani Zofia sądziła, że mąż wysłał nagłe z jakimś kursem w drogę poza miasto. Dlatego też niezbyt się niepokoiła nieobecnością męża. Ale kiedy nazajutrz zgłosiła się do bazy samochodowej, dyspozytor oświadczył jej, że Wojciech Myszkowski poprzedniego dnia wyjątkowo wcześniej, bo już około godziny dwunastej skończył pracę, gdyż odbierał jakieś wolne godziny.

Państwo Myszkowscy byli młodym małżeństwem. Zarówno według zeznań żony, jak i przeprowadzonego później wywiadu u członków rodziny i sąsiadów, ich pożycie małżeńskie układało się dobrze. Nikt nigdy nie słyszał jakichś większych kłótni czy awantur. Żona nie skarżyła się na męża nawet przed własną matką. Nie narzekał na żonę Wojciech Myszkowski. Nigdy nikomu nie wspominał o małżeńskich kłopotach. Także nie ustalono istnienia ani „tego trzeciego”, ani „tej trzeciej”.

Na razie milicja potraktowała zgłoszenie o zaginionym z pewną rezerwą. Wiadomo, młody czło-

wiek mógł się gdzieś zawieruszyć. Mogła mu się trafić jakaś „fucha”. Choćby odprowadzenie gdzieś poza Kraków samochodu osobowego, kupionego przez mniej sprawnego kierowcę, który jeszcze boi się zasiąść za kierownicą swoich własnych „czterech kółek”. Ale kiedy nieobecność Wojciecha Myszkowskiego przeciągnęła się na następne dni, Komenda Wojewódzka poważnie zajęła się tą sprawą.

Ustalono, że w dniu zaginięcia Wojciech Myszkowski miał na sobie prawie nową jesionkę w „jodełkę”, a także nosił na rękę zegarek. Dziwnym trafem również firmy „Doxa”, lecz już nie ze złota. W tamtej epoce w Krakowie dużo było tych zegarków. Pochodziły przeważnie z przemysłu z pobliskiej Czechosłowacji. Mógł to być także przemysł z Wiednia.

Wojciech Myszkowski od kilku lat pracował przy budowie Nowej Huty. Zawsze jako kierowca. Zresztą skończył „samochodówkę”. Ale jego marzeniem było dorobienie się własnej taksówki. Ciął na ten cel każdy grosz. Jeżeli w tym małżeństwie czasami dochodziło do nieporozumień, to wyłącznie dlatego, że pan domu oszczędzał na wszystkim, aby jak najszybciej osiągnąć upragniony cel.

Sąsiedzi wiedzieli o zamiarach młodego kierowcy. Uchodził on zawsze za zamożnego człowieka. Wiadomo, taksówka kosztuje ładne pieniądze. A Myszkowski już tyle lat na nią zbiera. Musi mieć dobre tysiące.

To zresztą było prawdą. Na książeczce oszczędnościowej małżonków figurowała dość poważna kwota. Sam Wojciech Myszkowski zawsze miał przy sobie co najmniej kilka setek. Na ogół nie pił, chociaż po robocie nie stronił od jednego czy dwóch kufelków piwa. Nie nosił jednak przy sobie tyle pieniędzy, aby ta suma mogła być powodem zamachu na niego.

Dowiedziano się o jeszcze jednym charakterystycznym szczególe. Wojciech Myszkowski trzymał pieniądze w nietypowym portfelu. Kiedyś Myszkowski w pewnym warsztacie samochodowym pomagał w naprawie czyjegoś auta. Jego właściciel miał biało-niebieski portfel, który Myszkowski tak się spodobał, że zamiast zapłaty za pracę poprosił o to cacko. Samochodziarz zgodził się chętnie. Ten portfel pochodzenia zagranicznego nie miał dużej wartości. Był z kolorowego plastiku, tyle że oryginalnie wykonany.

Milicja starała się prześledzić ostatni dzień pracy Wojciecha Myszkowskiego. Woził on w tamtym dniu jakieś urządzenie do budującej się huty. Skończył tę



robotę jeszcze przed dwunastą w południe i zjechał do bazy. Ponieważ tutaj zajęcia miał tylko na dwie godziny — a kierowca pracował od szóstej rano do drugiej po południu i wtedy przychodził „zmiennik” — dyspozytor zgodził się na wcześniejsze opuszczenie roboty przez Wojciecha.

Potem widziano jeszcze Myszkę w pobliżu pętli tramwajowej, przy kiosku. Pił piwo. Udało się także ustalić, że Myszka wsiadł do tramwaju idącego w stronę śródmieścia Krakowa. Towarzyszyl mu jakiś mężczyzna. Jednakże świadek, który rozpoznał kierowcę, nie znał jego kompana.

Na tym ślad się urywał. Nie przyniosły niczego nowego dalsze poszukiwania ani w pogotowiu, ani we wszystkich szpitalach krakowskich. Gdziekolwiek w Polsce znajdowano jakieś niezidentyfikowane zwłoki, sprawdzano czy to nie młody mieszkaniec Krakowa, ale zawsze okazywało się, że to ktoś inny.

Trzeba bowiem wspomnieć, że „Wojciech Myszka miał charakterystyczny „znak szczególny”. Oto przed czterema laty uległ w pracy dość poważnemu wypadkowi. Pomagając przy wyładunku dużej maszyny, kierowca tak niefortunnie wziął się do rzeczy, że spadający ciężar przygniół mu rękę. Trzy palce lewej ręki uległy zmiążdżeniu. Wprawdzie udało się uniknąć amputacji, ale zniekształcenie pozostało na zawsze.

W kilka dni po zniknięciu Wojciecha Myszkę, w bazie, w której pracował, rozeszły się pogłoski, że zniknięcie kierowcy jest po prostu sfingowane przez rodzinę. Myszka nie zaginął, lecz uciekł przez zieloną granicę do Czechosłowacji, a stamtąd do RFN-u.

Podobno kierowca zwierzał się znajomym, że szykuje tę ucieczkę, gdyż za granicą jako kierowca i mechanik samochodowy znajdzie bez trudu robotę i w ciągu roku, a najdalej dwóch lat tyle zarobi, że wróci własnym samochodem. Podobno jakiś turysta zachodniemiecki zwiedzający Kraków poznał Wojciecha Myszkę i zaproponował mu pracę we własnej fabryce czy też stacji obsługi.

I tę pogłoskę należało sprawdzić. Wojska Ochrony Pogranicza nie miały w tym czasie żadnych meldunków o „przerwaniu granicy”. Warto zaznaczyć, że wtedy granica z Czechosłowacją była znacznie dokładniej pilnowana niż dzisiaj, kiedy każdy polski obywatel może ją przekroczyć za okazaniem dowodu osobistego.

Również od naszych sąsiadów przysłyły negatywne meldunki. Tam także nie zanotowano żadnych prób przedostania się na zachód. Zresztą było to

wręcz wykluczone. Granicy z Austrią czy RFN-em strzegą druty pod napięciem elektrycznym. Myszka musiałby być ptakiem, aby ją przefrunąć.

Ale była inna możliwość. Wtedy w Berlinie nie istniał jeszcze mur dzielący miasto na dwie części. Można było metrem lub koleją bez trudu przejechać do Berlina Zachodniego, a stamtąd samolotem do Niemiec Zachodnich. Jednakże granica Polski z Niemiecką Republiką Demokratyczną biegła nieprzerwanie wzdłuż Odry i Nysy, z jednym wyjątkiem — kawałka tej granicy pod Szczecinem. Tutaj jednak również pod koniec marca i w początkach kwietnia nie stwierdzono żadnej próby nielegalnego przekroczenia tej granicy.

Rodzina zaginionego, tak żona jak i jego rodzice kategorycznie zaprzeczyli, jakoby ich mąż i syn nosił się z zamiarem nielegalnego opuszczenia kraju. Wojciech Myszka nie władał ani językiem niemieckim, ani nie mówił po czesku. Ucieczka w pojedynkę raczej nie wchodziła w rachubę. Ktoś nie mający w porządku dokumentów zostałby bardzo szybko zdemaskowany, zanim by jeszcze zdolał dotrzeć do granicy Niemiec Zachodnich.

Zresztą dlaczego Myszka miałby uciekać? Zarabiał dobrze. Upragniony cel, kupno taksówki, był coraz bliższy. Młoda, przystojna żona. Dobre stosunki z całą rodziną. Żadnych przykrości czy kłopotów w pracy. Kierowca miał opinię spokojnego, zrównoważonego człowieka. Mimo młodego wieku, nie w głowie mu były awanturnicze przygody.

Milicja postanowiła odszukać plotkarzy, aby dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego. Ale i tutaj wywiadowców spotkało niepowodzenie. Ludzie powtarzali to, co od kogoś kiedyś słyszeli. Nie udało się jednak dotrzeć do źródła.

Natomiast sam fakt, że taka plotka kursowała w kręgu znajomych Myszkę i była uporczywie rozsiewana chyba w tym celu, aby dotarła również do uszu milicji, świadczyła o jednym: komuś bardzo zależało na tym, żeby sprawa zaginięcia kierowcy jak najszybciej ucichła. Żeby władze zanotowały w odpowiedniej rubryce „zbiegł za granicę” — i zaprzestały poszukiwań.

Nic ulegało wątpliwości, że z Wojciechem Myszką stało się coś niedobrego. Człowiek ginie bez śladu, jeśli sam chce się ukryć w jakiejś mało dostępnej dziurze, albo kiedy pada ofiarą zbrodni. Myszka nie miał powodów do ukrywania się. Pozostała więc tylko ta druga możliwość.

Drogi zegarek, porządna, prawie nowa jesion-

ka, portfel zawsze pełen czerwonych papierków, opinia bogatego człowieka, słowem — wszystko wskazywało na to, że nie chodziło tu o zemstę lub osobiste porachunki. Zresztą jakie? O Mysze wyrażano się dobrze. Z nikim nie miał zatargów. Wyglądało więc na morderstwo rabunkowe. Trzeba zatem szukać przede wszystkim zegarka i jesionki. Może także odnajdzie się w czyichś rękach lub kieszeni ten charakterystyczny biało-niebieski portfelik? Dużo takich na pewno nie ma w Krakowie.

Skoro nie można było odnaleźć człowieka, należało odszukać jego osobiste rzeczy.

## AS TREFL PO RAZ DRUGI

Kiedy poszukiwania Wojciecha Myski postawiły na nogi całą krakowską milicję, nagle wypłynęła sprawa Jana Siatki.

Jan Siatka był wtedy osobą może nie tyle często notowaną w kronikach milicji, ile dobrze jej znaną.

Ten człowiek stoczył się bardzo nisko. W pełni zasłużył na opinię nałogowego pijaka i awanturnika. Miał mieszkanie w śródmieściu. A właściwie nie mieszkanie, lecz jedną izbę w starym domu na rogu Senackiej i Grodzkiej.

Mieszkanie to nader szybko zamieniło się w melinę pijacką i złodziejską. Znały je także krakowskie prostytutki, które często korzystały z uprzejmości gospodarza. Uprzejmość ta nie była bynajmniej bezinteresowna...

Mieszkańcy domu przy ulicy Senackiej nadaremnie wnosili skargi przeciwko zakłócającemu im spokój lokatorowi.

Taka sytuacja trwała mniej więcej do połowy października 1958 roku. Ścisłej daty nie udało się nigdy ustalić. Dość, że w tym miesiącu Siatka nagle znika z ulic Krakowa. Mieszkanie jest zamknięte, firanki zapuszczone. Sąsiedzi nie zmartwili się tą stratą. Nareszcie ustaly pijackie libacje i prawie codzienne awantury. „Paniénki” szybko się też przekonały, że nie należy tu przychodzić ze swoimi klientami, bo na drzwiach dawniej tak gościnnego lokum teraz wisi potężna kłódka.

Bardzo szybko o Janie Siatce zapomniano. Tym bardziej że rozeszły się pogłoski, jakoby uciekł za granicę. Podobno miara jego wyczynów

już się przebrała i lada dzień groziło mu aresztowanie. Nawet administracja nieruchomości nie zainteresowała się opuszczonym, zamkniętym na kłódkę mieszkaniem, ani lokatorem, który od dawna zalegał z komornym.

Tak upłynęło blisko osiem miesięcy. Pod koniec maja do milicji zgłosiła się matka Jana Siatki z pytaniem, co się dzieje z jej synem? Nie ma od niego od tyłu miesięcy żadnej wiadomości, nawet do swojego mieszkania wcale nie zagląda. Czyżby został zatrzymany i odsiadyuje wyrok? Dlaczego w takim razie nawet słówka nigdy nie napisał?

Zameldowanie przyjęto i rozpoczęto poszukiwania. Dały one wynik negatywny. Siatka nie figurował na żadnych listach odsiadujących jakąś karę. Żaden szpital nie miał pacjenta o takim nazwisku. Nikt nie wymeldował go z mieszkania. Nikt nie wystawił aktu zgonu.

Zainteresowano się zamkniętym mieszkaniem. Po uzyskaniu zezwolenia prokuratury, milicja przy pomocy ślusarza otworzyła drzwi. Gdy wreszcie przedstawiciele władzy weszli do tej izby, znaleźli Jana Siatkę, a właściwie jego zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Na stole stały szklanki i dwie butelki po winie. Tam też poniewierała się rozrzucona talia kart. Jedno z krzesel było przewrócone, inne odsunięte od stołu. W pobliżu łóżka znajdowała się siekiera, której stylisko nosiło ciemne plamy. Prawdopodobnie ślady zaschniętej krwi. Takich plam było zresztą pełno na poduszce i na pościeli. Głowa zabitego była dosłownie zmasakrowana.

— Ponieważ poszukiwanie zaginionych należało do referatu, w którym pracowałem — opowiadał podpułkownik Krzyżewski — znajdowałem się wśród członków ekipy milicyjnej otwierającej drzwi do mieszkania Jana Siatki. Mnie najbardziej wtedy uderzył widok leżącej pod stołem „koszulka” do góry karty. Gdy się nachyliłem i podniosłem tę kartę, trzymałem w ręku asa trefl.

Oficer milicji na chwilę przerwał i spojrzał na swoich towarzyszy. Widząc w ich oczach niedowierzanie, zapewnił:

— Naprawdę pod stołem leżał as trefl. A przed moimi oczyma stanęła scenka sprzed pięciu lat. Komisariat kolejowy MO na Dworcu Głównym w Krakowie, małutka, śliczna Cyganeczka śpiąca na ławie w poczekalni i jej matka mówiąca do Siatki: „As trefl to znaczy śmierć. Nie będę ci nic mówić”.

To wprost nieprawdopodobne. Tamta wróżba spełniła się i jeszcze ten as trefl pod stołem.

Lekarz milicyjny dokonujący sekcji zwłok ustalił, że Jana Siatkę zabito uderzeniami jakiegoś tępego narzędzia. Styliśko siekiery pasowało do tego określenia. Jednakże na jednej z butelek znaleziono również drobne plamki krwi i włosy denata.

Z dużym więc prawdopodobieństwem można było ustalić przebieg zbrodni. Najpierw popijawa przy stole. Uczestniczyły w niej trzy osoby. Tyle bowiem szklanek nosiło ślady po winie. Następnie uderzenie butelką, które zapewne nie zabiło, lecz jedynie ogłuszyło Jana Siatkę. Nieprzytomnego przeniesiono na łóżko, gdzie go następnie wykonano uderzeniami styliśkiem siekiery.

Zarówno w kieszeniach zabitego, jak i w całym mieszkaniu nie znaleziono żadnych pieniędzy. Dosłownie ani grosza. Siatka wprawdzie lubił zaglądać do kieliszka, ale najczęściej robił to na cudzy koszt. Poza tym, jak już wiemy, miał on różne, kolidujące z kodeksem karnym, dochody. Było mało prawdopodobne, aby nie miał ani złotówki przy duszy. Wniosek prosty. Ofiarę mordy ograbiono.

Przypomniano sobie pewien szczegół. Jan Siatka zimą czy latem zawsze nosił przy sobie skórzaną raportówkę. O tej raportówce mówili wszyscy świadkowie. Pochodziła ona chyba jeszcze z czasów jego służby wojskowej. Co w niej nosił, nie wiadomo. Ale nigdy się z nią nie rozstawał. W mieszkaniu raportówki nie znaleziono.

Chociaż ciało zabitego znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu, na lewym ręku zmarłego zachował się ślad po rzemyku zegarka. Ale zegarek także zniknął. Najwidoczniej padł on też łupem morderców.

Trudno także przypuścić, aby w połowie października, wtedy bowiem liczni świadkowie widzieli Jana Siatkę po raz ostatni, ten człowiek nie miał żadnego cieplejszego okrycia. Płaszcz lub ciepłej kurtki. Matka Jana Siatki zeznała, że jej syn niedawno kupił sobie nowy płaszcz na podpince.

Po sekcji zwłok lekarz stanął przed bardzo trudnym zadaniem: ustalenia czasu zgonu. Podanie nawet przybliżonej daty było prawie niemożliwe. Natomiast wszystko wskazywało na to, że minęło przynajmniej siedem miesięcy od chwili śmierci Jana Siatki. Zwłoki znaleziono w maju, a zatem zgon nastąpił gdzieś w październiku ubiegłego roku. To by się zgadzało z zeznaniami lokatorów domu, że awantury i popijawy w mełlinie na parterze ustaly w połowie października.

Połowa października: zamordowany zostaje Jan Siatka. Dziewiątego grudnia tego samego roku w domu Na Groblach ginie w bestialski sposób zabita Bronisława Prochalowa. Dwudziestego szóstego marca zdaje swój wóz i wychodzi z bazy kierowca Wojciech Myszka. Nikt go już nie zobaczy żywego. Wprawdzie ciała nie znaleziono, ale wszystkie ustalenia przemawiają za tym, że i w tym przypadku mamy do czynienia ze zbrodnią.

Trzy morderstwa w ciągu zaledwie pół roku i to trzy nie wykryte morderstwa bardzo nadszarpnęły opinię krakowskiej milicji. Nic dziwnego, że komendant wojewódzki osobiście zainteresował się tymi zbrodniami. I raczej nie chwalił swoich podkomendnych.

Do wykrycia tych tajemniczych spraw oddelegowano zarówno w Komendzie Miejskiej jak i Wojewódzkiej znaczną liczbę ludzi, w tym najlepszych fachowców, jakimi wówczas krakowska milicja rozporządzała.

Prowadzący dochodzenie widzieli tylko jedną drogę, która doprowadziłaby do rozwiązania zagadki tych tajemniczych morderstw. Tą drogą było odnalezienie zrabowanych rzeczy i dojście do ich pierwszego sprzedawcy. Mógł nim być wyłącznie zabójca albo osoba bezpośrednio z nim związana, która w obliczu oskarżenia o zabójstwo niewątpliwie wskaże właściwego przestępcę.

Lista zrabowanych przedmiotów nie była zbyt długa. Trzy zegarki, w tym dwa firmy „Doxa”. Jeden z nich złoty. Dalej: płaszcz z podpinką, prawie nowy, oraz jesionka w jodelkę także mało używana. Wreszcie stara, skórzana raportówka i najbardziej charakterystyczny przedmiot: biało-niebieski portfelik.

Próby odnalezienia takich przedmiotów w półmilionowym mieście przypominały oczywiście szukanie igły w stogu siana.

---

## DOM CICHEJ ŚMIERCI

---

Znalezienie zamordowanego Jana Siatki w jego własnym mieszkaniu stanowiło wielką sensację na całej ulicy Grodzkiej i Senackiej. Gromady gapiów otaczały stary dom mieszkalny, utrudniając milicji prowadzenie zwykłych w takim wypadku czynności. Były zawodowy wojskowy był przecież

w pewnych kołach Krakowa osobistością dość popularną.

Toteż tego dnia milicja ograniczyła się do niezbędnych, pierwszych kroków dochodzenia. Ciało możliwie najszybciej przetransportowano do prosektorium dla dokonania sekcji zwłok. Mieszkanie przewietrzono i opieczętowano.

Dopiero na trzeci dzień milicjanci ponownie zjawili się w domu na rogu Senackiej i Grodzkiej. Teraz przeprowadzono szczegółowe przeszukiwanie całego lokalu zamieszkiwanego przez Jana Siatkę. Rezultat tych czynności był ujemny. Widocznie upłynęło zbyt wiele czasu, aby udało się odkryć jakieś ślady morderców, a choćby zachowanych, odcisków palców na pozostawionych na stole szklankach, butelkach i leżącej na podłodze siekierze. Przed opuszczeniem mieszkania „goście” musieli dokładnie usunąć wszelkie ślady, również z tej szklanki, z której pił Jan Siatka. Trudno bowiem przypuścić, że on nie uczestniczył w libacji, a jeżeli pił, to na pewno nie używał rękawiczek.

Nikłe ślady odcisków palców znaleziono na niektórych kartach. Były one jednak tak zatarte, że nie mogły stanowić dowodu w prowadzonym dochodzeniu.

Milicja zainteresowała się podziemiami domu. Tutaj wszyscy lokatorzy mieli swoje piwnice. Również i Jan Siatka. Ale w tym pomieszczeniu znaleziono jakieś dwa połamane krzesła i trochę miału węglowego.

Układ piwnic był typowy. Środkiem biegł dość szeroki korytarz. Z obu jego stron ciągnęły się małe, odgródzone od siebie murem, piwnice. Ich drzwi wychodziły właśnie na ten korytarz. Zarówno korytarz jak i piwnice nie miały podłogi, lecz zwykłą, udeptaną ziemię.

Schody prowadzące do piwnic były zabezpieczone na parterze drzwiami zamykanymi na kłódkę. Każdy z lokatorów miał do niej klucz. Drzwi zazwyczaj były zamknięte i nikt obcy nie mógł się dostać do piwnic. Niestety lokatorzy zbyt często zapominali o zamykaniu kłódki. Nawet w dniu, w którym milicja dokonywała tam przeszukania, każdy mógł swobodnie dostać się do piwnic.

Zapytana w tej sprawie dozorczyńni domu, oświadczyła krótko:

— Jeżeli lokatorzy sami nie dbają o swoje dobro, dlaczego ja mam pilnować, stale sprawdzać i ciągle zamykać drzwi na kłódkę. I tak mam dużo roboty.

W korytarzu piwnicznym pod jedną ścianą natrafiono na stos starego żelastwa. Jakieś na wpół zardzewiałe piecyki zwane popularnie „kozą”, rury, przepalone ruszty, pęki drutu itp. Stos ten uniemożliwiał swobodne poruszanie się po korytarzu. Aż dziw brał, że nikt tym się nie zainteresował i nie zawiózł do pobliskiej składnicy złomu, gdzie dostałby za to przynajmniej dwie setki.

Jeden z milicjantów omal sobie spodni nie rozdarł o jakiś ostry przedmiot wystający z tej masy żelastwa. Oficer kierujący przeszukianiem polecił swoim ludziom usunąć złom i sprawdzić, co jest pod nim.

Pod żelastwem była tylko ziemia. Taka sama jak na całym korytarzu. Tyle że nieco jaśniejsza niż gdzie indziej. Tworzyła także niewielką wypukłość, którą spróbowano rozkopać.

Łopatę przyniosła dozorczyńni. Pod naciskiem nogi szufla łopaty prawie bez oporu zagłębiła się w piasku. Ktoś tu stosunkowo niedawno musiał także kopać.

Jeszcze parę ruchów łopaty. W miarę pogłębiania otworu korytarz zaczął się wypełniać słodkim odorem. Takim samym, jaki uderzył milicjantów, gdy przed paroma dniami dostali się do zamkniętego mieszkania Jana Siatki. Kopanie natychmiast przerwano. Piwnicę zamknięto i postawiono przy wejściu milicjanta. A do domu zawezwano specjalną ekipę w ubraniach ochronnych i maskach gazowych. Specjalistów od dokonywania ekshumacji zwłok.

Silny reflektor oświetlał pracę tych ludzi. Kopali ostrożnie. W miarę powiększania i pogłębiania otworu zaduch stawał się coraz mocniejszy. Wreszcie szpadle dotknęły czegoś miękkiego. Szczątki ubrania.

Teraz już rękoma w długich gumowych rękawiczkach usuwano resztki ziemi. Odsłonięto ciało mężczyzny. Leżał twarzą do ziemi. Zwłoki były w stadium głębokiego rozkładu. Z największą trudnością wydobyto je z prowizorycznego grobu i przewieziono do prosektorium.

Ciężką mieli pracę lekarze dokonywający tej makabrycznej sekcji. Stwierdzili oni, że są to zwłoki mężczyzny w wieku około dwudziestu pięciu lat, średniego wzrostu. Rysy twarzy były już nierozpoznawalne. Natomiast trzy kości palców lewej ręki wykazywały wyraźne zniekształcenie. W szczątkach ubrania nie znaleziono najmniejszego drobiazgu.

Czaszka zmarłego była wgnieciona z prawej

strony, w okolicy skroni. Zadano tylko jeden silny cios jakimś tępym narzędziem. Mogła nim być butelka po winie lub piwie. (Butelki po wódce są cieńsze i przy uderzeniu pękają pozostawiając zazwyczaj rany cięte). Śmierć nastąpiła natychmiast.

Niestety, rodzinie zaginionego Wojciecha Myszki nie można było oszczędzić ciężkiego przeżycia, identyfikacji zwłok. Żona kierowcy dwukrotnie mdlała w prosektorium. Ojciec Wojciecha trzymał się dzielnie. To nawet dla lekarzy i milicjantów był okropny widok, a cóż dopiero dla rodziny. Oboje, zarówno Zofia Myszkowa, jak i Stanisław Myszka, rozpoznali jednak swojego bliskiego. Głównie po szczątkach odzieży i butów, które uległy najmniejszemu zniszczeniu. Także zmiażdżone palce lewej ręki ponad wszelką wątpliwość wskazywały, że człowiekiem, którego zwłoki wykryto w korytarzu piwnicznym w domu przy ulicy Senackiej róg Grodzkiej, może być tylko zaginiony od dwudziestego szóstego marca kierowca samochodowy, Wojciech Myszka.

Wykrycie tej zbrodni stanowiło punkt zwrotny w całej sprawie trzech zabójstw. Fakt, że każde z tych morderstw popełniono w niemal identyczny sposób — uderzeniem butelką w głowę — świadczyło o tym, że wszystkich przestępstw dokonał ten sam człowiek. Jest bowiem regułą, że przestępcy prawie zawsze stosują identyczny sposób popełniania swoich czynów. Jeżeli na przykład jakiś złodziej nauczy się otwierać zamki „na pasówkę” lub włamywać się do sklepu za pomocą podnośnika samochodowego, przy kolejnym skoku posługuje się tym samym narzędziem.

Milicja zdobyła więc może nie pewnośc, ale w każdym bądź razie ważną przesłankę, że trzy sprawy łączy jedna i ta sama osoba mordercy.

Druga okoliczność była jeszcze ważniejsza. Cios, który zabił Wojciecha Myszke, został mu zadany w prawą skroń. A zatem uderzono tego mężczyznę z przodu. Żeby zadać taki cios, morderca musiał się posłużyć lewą ręką. Bijąc prawą, trafilby w lewą oczywicie, a nie w prawą skroń.

Przestępca jest mańkutom!

Może utajonym mańkutom, takim, który pisze i je posługując się prawą ręką, bo od dzieciństwa tak go uczono lub nawet zmuszono do tego. Jednakże działając w napięciu nerwowym czy też odruchowo zawsze posłuży się raczej lewą niż prawą ręką.

Mańkutów jest znacznie mniej niż ludzi praworęcznych. Odkrycie dokonane w domu przy ulicy

Senackiej ogromnie ułatwi selekcję podejrzanych, ale trzeba ich najpierw mieć.

Znalezienie zwłok zakopanych w piwnicy domu przy ulicy Senackiej róg Grodzkiej stanowiło ważną wskazówkę dla milicji, gdzie szukać zbrodniarza. Wojciech Myszka wszedł do tej kamienicy i był gościem jednego z jej mieszkańców. Pito zapewne jakiś alkohol w którymś z mieszkań albo może na tym korytarzu, gdzie zabity znalazł swój grób. Zabójca tak pewnie czuł się na swoim terenie, że spokojnie pogrzebał ofiarę i na mogile ułożył stertę żelastwa. Znał zwyczaj mieszkańców kamienicy. Wiedział, kiedy można spokojnie „pracować” w piwnicznym korytarzu. Dół, w którym zakopano Myszke, miał przeszło metr dwadzieścia centymetrów głębokości. Ziemia na tym korytarzu, ubijana przez dziesiątki lat tysiącami stóp, była twarda. To naprawdę niełatwe zadanie wykopać taką mogiłę. A przy tym czasochłonne. Jednemu człowiekowi musiało zająć przynajmniej godzinę. I musiał mieć pewnośc, że przez ten czas nikt nie zjeździe do piwnic.

A co podczas kopania grobu działo się ze zwłokami zabitego? Kopanie dołu na korytarzu piwnicznym można w mniej lub bardziej naiwny sposób wytłumaczyć. Obecność trupa leżącego obok, w żadnym razie nie znajdzie uzasadnienia. Milicja przypuszczała, że zabitego najpierw ukryto w którejś z piwnic, a dopiero po przygotowaniu grobu przyniesiono na korytarz, złożono do dołu i zakopano.

---

## DWAJ PRZYJACIELE

---

Lista mieszkańców domu przy ulicy Senackiej nie była zbyt długa. Po przeprowadzeniu wywiadu środowiskowego wiele nazwisk wyeliminowano bardzo prędko, inne natomiast na dłużej przykuwały uwagę organów milicji. Szczególnie jedno, mianowicie dozorczyńni tego domu, wdowy. Kobiety po pięćdziesiątce. Jej zmarły przed siedmiu laty mąż był dozorcą. Po tej śmierci pani Polewnik objęła stanowisko po mężu. Cicha, spokojna kobieta ze swoich obowiązków wywiązywała się dość dobrze. Nie było na nią większych skarg. Dzielnicowy MO na ogół wyrażał zadowolenie ze współpracy z Polewnikową. Nie musiał

karac mandatami karnymi czy kierować spraw na kolegium orzekające, jak to bywało z innymi „gospodarzami” domów.

Dozorczyni miała jednego syna Bogusława. Ten w przeciwieństwie do matki nie cieszył się dobrą opinią. Doskonale znał go dzielnicowy oraz inni funkcjonariusze milicji. Trzydziestoletni, krępy blondyn o falującej czuprynie, już we wczesnej młodości poczuł niczym nie pohamowany wstręt do nauki. Z trudem przebrnął przez cztery czy też pięć klas szkoły podstawowej i na tym zakończył swoją edukację.

Z kolei wstręt do nauki rozwinął się we wstręt do pracy. Kiedy jeszcze ojciec żył, Bogusław Polewnik kilkakrotnie chwycił się różnych zajęć. Czynił to jednak wyłącznie pod groźbą ojcowskiego pasa. Wiedział też, że ojciec nie cofnie się nawet przed wyrzuceniem go z domu. Jednakże w żadnym miejscu pracy Bogusław nie pozostawał zbyt długo. Zwalniano go albo za pijaństwo, albo za awanturnictwo. Bądź też po prostu za notoryczne lenistwo. Po śmierci ojca młody człowiek uważał, że najwygodniej mu będzie „przy mamusi”.

Teraz już cały wolny czas mógł poświęcać pijaństwu i tym podobnym przyjemnościom. Pieniądze na wino i wódkę zdobywał wyłudżając parę groszy od matki lub służąc Janowi Siatce jako stręczyciel polecający swej klienteli mieszkanie przy ulicy Senackiej.

Przeprowadzając wywiad, milicja ustaliła, że Jan Siatka dotkliwie pobił kiedyś Bogusława. Ten mu się nieraz odgrażał i przysięgał zemstę. Później jednak doszło do zgody. Prawdziwej lub pozorowanej i obaj mężczyźni razem zarabiali i razem przepijali zarobki w melinie przy Senackiej. Bogusław Polewnik jako syn dozorey, urodzony i wychowany w tym domu, znał doskonale wszystkie zakamarki starej kamienicy oraz orientował się w zwyczajach lokatorów tej czynszówki. Miał dostęp do piwnicy, wiedział, gdzie znajdują się łopaty. Pani Polewnikowa miała także swoją piwnicę i to położoną tuż przy odkrytym przez milicję grobie Wojciecha Myszkę.

Milicja wielokrotnie zatrzymywała Bogusława Polewnika za zakłócenie porządku publicznego. Stawał również przed kolegium orzekającym. Kończyło się na wyrokach grzywny. Młody człowiek nie sobie z tych wyroków nie robił, a że nie lubił pracować, nie było żadnych szans ścigania należności. Parę razy milicja podejrzewała Polewnika o udział w kradzieżach i włamaniach do

sklepów i kiosków. Niczego nie zdołano mu udowodnić.

Młody Polewnik reprezentował ten typ alkoholika, który po paru kieliszkach wódki lub wina staje się agresywny wobec otoczenia, wywołuje bójkę i awantury. To był najczęstszy powód jego kontaktów z milicją i kolegium orzekającym.

Ponownie poproszono do komendy Stanisława Prochala, męża bestialsko zamordowanej Bronisławy Prochalowej.

— Czy pan zna Bogusława Polewnika? — zapytano.

— Naturalnie że znam. Od szczeniaka. O parę lat starszy od mojego syna Kazimierza, chodził do tej samej szkoły co Kazik. Później Bogusława stamtąd wyleli, ale chłopaki „kolegowali się” nadal. Nie powiem, żeby mi się to specjalnie podobało, bo chciałem syna wychować na porządnego człowieka, a tamten to takie nic dobrego.

— A zatem syn utrzymywał kontakty z Polewnikiem?

— Czasami się spotykali. Bogusław nieraz kręcił się na „tandecie”, toteż spotykał tam Kazimierza. Zachodził też do mieszkania. Czasami przynosił flaszkę wina.

— Czy żona także знаła Polewnika?

— Pewnie że znała. Kiedy z Bogusławem było zupełnie kruchy pod względem paru złotych, to, bywało, przychodził do Broni, aby go podratowała. Pożyczyła mu z dobrego serca, ale nigdy nie więcej niż sto złotych. Przecież wiedzieliśmy, że i tak przepije.

— Oddawał te długi?

— Groszem to on nigdy nie śmierdział. Kiedy go moja żona przycisnęła, to odpracowywał.

— W jaki sposób?

— Jak pan porucznik wie, żona handlowała różnymi rzeczami. Zbierała złom, stare szmaty, makulaturę, a najczęściej butelki. Zanim to się zanieśie do punktu skupu, trzeba wszystko ładnie posegregować. Każdą butelkę porządnie wymyć. Potem cały majdan zanieść. Czasami Broni udawało się pożyczyć wózek od roznosiela mleka, ale często trzeba było wszystko targać na własnych plecach. Polewnik żonie pomagał, nosił worki z makulaturą i butelkami. Zawsze swoje odrobił, bo wiedział, że więcej by nie dostał ani złotówki.

— A pamięta pan, kiedy Polewnik ostatni raz był w waszym mieszkaniu?

— Będzie z tydzień temu. Wpadł i pytał o

Kazika, ale nie zastał go w domu. Wiadomo, jak chłopak ma wolny czas, to siedzi u swojej dziewczyny. Przez tę śmierć żony i żalobę ślub został odłożony, ale teraz znowu o tym myślą. Chyba we wrześnie się pobiorą.

— Nam nie chodzi — wyjaśnił oficer milicji — o obecność Polewnika w waszym domu teraz, ale kiedy on tam był ostatnio za życia pańskiej żony?

Prochal namyślał się.

— To było — powiedział — z tydzień czy dziesięć dni przed tym strasznym wypadkiem. Polewnik, jak zawsze, przyszedł już trochę „podcięty”. Przyniósł ze sobą pół butelki wina. Ani ja nie piłem, ani Bronia. Rozpili to z Kazikiem, który jak raz wrócił od swojej dziewczyny.

— Może pamięta pan, o czym była mowa?

— Syn, jak tylko wypije dwa kieliszki, od razu dostaje małpiego rozumu. Okropnie słabą ma głowę. Nie to co ja. Wtedy tak samo, z miejsca się urznął i zaczął głupoty opowiadać o swoim ślubie i jakie to będzie weselisko. Kogo to on nie zaprosi i ile wszystko będzie kosztowało. Przechwalał się durno, że matka wyłoży trzydzieści tysięcy złotych, a rodzice panny młodej nie będą gorsi. Mnie aż diabli brali, ale Bronia tylko się śmiała. Ona zawsze lubiła uchodzić za bogatszą niż to było naprawdę.

— A potem, po śmierci żony, kiedy Polewnik do was przyszedł?

— Chyba gdzieś na drugi czy trzeci dzień. Nie pamiętam, bo wtedy ludu mrowie się do nas schodziło. Bronię znało dużo ludzi. Kobieta była lubiana. Nigdy nikomu nic złego nie zrobiła, nawet przykrego słowa nie powiedziała. Uczynna, niejednemu pomogła. Kiedy więc rozniosło się, że ją zamordowano, ludzie przychodzili aż z Kazimierza i Nowej Huty. Ale pamiętam, że Polewnik przyniósł butelkę wina. Żeby ją otworzyć, szukał korkociągu w kredensie. Ale nie znalazł. Na pogrzebie także był.

— A te żony klucze do mieszkania znalazł pan przed pogrzebem czy po pogrzebie?

— Po pogrzebie. Na drugi dzień rano. Przecież dałem znać milicji, że klucze się znalazły. A co do Polewnika, to teraz dobrze sobie przypominam, że przyszedł do nas na dzień przed pogrzebem.

Bogusław Polewnik, jeśli to on był mordercą Bronisławy Prochal, słyszał i mógł uwierzyć, że ta kobieta ma odłożone trzydzieści tysięcy złotych na wesele syna. Doskonale się orientował, że gotówka trzymana jest w kredensie, bo kiedy

zbiieraczka złomu pożyczala młodemu człowiekowi pieniądze, zawsze sięgała do tamtego schowka. Polewnik także pod pozorem szukania korkociągu mógł schować kółko z kluczami do jednej z szuflad kredensu, gdzie następnego dnia czy też w dwa dni później znalazł je Stanisław Prochal.

Pierwsze ustalenia milicji wskazywały na Bogusława Polewnika jako sprawcę lub współsprawcę morderstwa. Mógł być zamieszany w zabójstwo Wojciecha Myszki i Jana Siatki. Mógł odegrać główną rolę w zbrodni przy placu Na Groblach. Były to wprawdzie dość luźne poszlaki, jednak oficerowie dochodzeniowi prowadzący sprawę trzech zabójstw postanowili iść tym tropem.

Jedno tylko nie pasowało do młodego mężczyzny. Stwierdzono w sposób nie ulegający wątpliwości, że Bogusław Polewnik nie był leworęczny. Protokoły milicji wspominały, że ten awanturnik bił zawsze prawą ręką i to bił mocno. A przecież to nie podlegało dyskusji i zostało potwierdzone świadectwem lekarskim. Wojciecha Myszkę zamordował małkut uderzeniem w prawą skroń. Ciosem tak silnym, że spowodował pęknięcie i wgniecenie czaszki.

Trzeba było szukać i małkuta.

Milicja zwracając uwagę na syna dozorczyń, zainteresowała się od razu najbliższym otoczeniem młodego człowieka. Bez trudu ustalono, że Bogusław Polewnik ma przyjaciela, a właściwie, jak się znajomi śmieli, adiutanta w osobie Tadusza Wiktorka.

Wiktorok, szczupły, wysoki szatyn z tendencją, pomimo młodego wieku, do łysinki, liczył sobie dwadzieścia pięć lat. Był prawie o sześć lat młodszy od mieszkańca domu przy ulicy Senackiej. Sam mieszkał przy ulicy Grodzkiej. Kilka domów dalej. Jeszcze jako młody brzdąc podziwiał różne psie figle i siłę fizyczną starszego kolegi. Im bardziej podrastał, tym Polewnik coraz więcej mu imponował. Kiedy zaś syn dozorczyń popadł w pierwsze konflikty z milicją, podziw podrostka zamienił się wręcz w bałwochwalcze uwielbienie. Wiktorok starał się dorównać we wszystkim swojemu idolowi. Niestety, w niedalekiej przyszłości miało go to zaprowadzić bardzo daleko.

W przeciwieństwie do Bogusława Polewnika, Wiktorok skończył zasadniczą szkołę zawodową i pracował jako mechanik samochodowy. Prawdopodobnie wyrósłby na uczciwego człowieka, gdyby nie jego zły duch, starszy kolega. On to

nauczył Wiktorka pić, wpał mu niechęć do pracy i pokazywał łatwe zarobki, choćby pośrednictwo w wynajmowaniu przygodnym parkom mieszkania Jana Siatki. Na takie nauki młody człowiek był ogromnie pojęty. Wkrótce i jego zaczęto wyrzucać z kolejnych posad, trafił też na wokandę spraw w kolegium i zapoznał się z aresztem milicyjnym.

Bogusław Polewnik zawsze traktował młodszego kolegę z pewną dozą pogardy i lekceważenia. Nieraz także dał mu poznać ciężar swojej pięści. I to nie tylko wtedy, kiedy jeden był podrostkiem, a drugi dopiero dwunastoletnim chłopcem, lecz i wówczas, gdy Wiktorek przekroczył dwudziestkę.

W mieszkaniu Jana Siatki milicja znalazła na stole trzy szklanki po winie. Piło więc dwóch morderców ze swoją przyszłą ofiarą. Jeśli jednym z zabójców był Bogusław Polewnik, drugim mężczyzną tam obecnym mógł być Tadeusz Wiktorek. To dla prowadzących śledztwo nie ulegało wątpliwości.

Tym bardziej osoba Wiktorka zainteresowała oficera dochodzeniowego, że mechanik samochodowy był mańkutom. Kiedy pracował w warsztatach naprawy samochodów, zawsze posługiwał się przede wszystkim lewą ręką.

Tadeusz Wiktorek często zmieniał miejsca pracy. Jego najserdeczniejszy przyjaciel zdążył go już całkowicie zdemoralizować. Ale wśród tych miejsc, gdzie młody człowiek przepracował stonkowo najdłużej, była baza transportowa, która również zatrudniała kierowcę Wojciecha Myszkę.

Milicja bez trudu odnalazła świadków, pracowników tejże bazy. Oni potwierdzili, że młodzi ludzie znali się, a nawet łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni. To właśnie Wiktorek najczęściej opiekował się wozem prowadzonym przez Wojciecha. Nieraz obaj wykonywali różne „fuchy” lub też w godzinach wolnych od pracy zatrudniali się u „prywaciarza”

Wojciech Myszka na ogół nie nadużywał alkoholu. Nigdy pod tym względem nie podpadł w pracy. Lubił jednak od czasu do czasu po wyjściu z roboty wypić kufel piwa pod kioskiem albo nawet w jednym z lokali Nowej Huty. Najczęstszym towarzyszem takiego wypadu był właśnie Tadeusz Wiktorek.

To były pierwsze podejrzenia, jakie milicja powzięła wobec dwóch młodych ludzi. Podejrzenia jeszcze bardzo słabo podparte jakimikolwiek dowodami. Należało je dopiero zebrać. W tym

stanie rzeczy oficer prowadzący dochodzenie nawet nie próbował zwrócić się do prokuratora o nakaz zatrzymania obu mężczyzn. To wszystko mogło być tylko wyjątkowym zbiegiem okoliczności.

Szybko jednak podejrzenia zaczęły się coraz bardziej konkretyzować. Wielu mieszkańców ulicy Grodzkiej i Senackiej — a obaj młodzieńcy byli tam aż za dobrze znani — przypominało sobie, że zarówno Wiktorek, jak i Polewnik często paradowali w listopadzie 1959 roku w jakimś jasnym płaszczu z podpinką. Raz chodził w nim jeden z przyjaciół, innym razem drugi.

Pamiętano także, że w tym mniej więcej czasie Wiktorek prawie stale nosił raportówkę. Dość już starą i podniszczoną. Wtedy nikt sobie nie kojarzył tej raportówki z własnością Jana Siatki, bo po prostu Siatka zniknął nagle z widowni i chodzili słuchy, że uciekł za granicę.

Dopiero teraz ludzie zaczęli łączyć te fakty i przypominać niedawne wydarzenia. Języki powoli się rozwiązywały

Mając takie zeznania w swoim ręku, prokurator przestał się wahać. Podpisał nakaz osadzenia obu młodych ludzi w areszcie. Zachodziła bowiem obawa, że mogą oni różnymi groźbami zastraszyć tych wszystkich, którzy mieliby coś istotnego do powiedzenia. Przy sławie, jaką się cieszyli dwaj „mołojcy” z ulicy Grodzkiej, obawy milicji i prokuratury były całkowicie uzasadnione.

Aresztowani: Tadeusz Wiktorek i Bogusław Polewnik przesłuchiwani kilkakrotnie przez oficera prowadzącego dochodzenie i przez prokuratora, kategorycznie zaprotestowali przeciwko osadzeniu ich o udział w trzech zabójstwach.

Wprawdzie syn dozorczyń, wobec nieodpartych dowodów przyznał się, że kilkakrotnie chodził w jasnym płaszczu stanowiącym własność Jana Siatki, ale uporczywie twierdził, że było to jeszcze za życia byłego podoficera. To właśnie Siatka czasami pożyczał Bogusławowi ten płaszcz, dopóki Polewnik nie postarał się o jakieś cieplejsze okrycie.

Wiktorek przybrał podobną taktykę. Owszem, raportówkę nosił. Była to stara raportówka, mająca co najmniej dziesięć lat. Skórę miała wytartą, zameczek uszkodzony. Siatka już jej nie używał i dał ją Tadeuszowi, kiedy go posłał po jakieś zakupy. Kilkanaście razy młody człowiek posługiwał się tą raportówką. Później zaś podarował ją jakiemuś przygodnie poznanemu chłopcu. Być może, że stało się to już po śmierci Jana



Siatki, ale wówczas nikt przecież nie wiedział, że ten człowiek nie żyje. Tadeusz Wiktorcik nie ma z tym zabójstwem nic wspólnego i w posiadanie raportówki wszedł całkowicie legalnie i za zgodą jego poprzedniego właściciela.

Co do zabójstwa Wojciecha Myszkę, to Tadeusz także nie brał w tym udziału. W ogóle znał Myszkę przelotnie. Razem pracowali przez krótki czas w jednej bazie samochodowej. Od tamtego czasu Wiktorcik nigdy nie widział kierowcy. Nie zna też nikogo z rodziny Prochalów. O zabójstwie tej kobiety dowiedział się z gazet. Nawet nie wiedział, że jego przyjaciel, Bogusław Polewnik, był w domu przy placu Na Groblach.

Bogusław Polewnik nie zaprzeczył, że był na pogrzebie Bronisławy Prochalowej i że jeszcze przed tym odwiedzał dom żałoby. Przyszedł tam, aby dowiedzieć się, czy milicja ujęła zabójcę. Nigdy by nawet ręki nie podniósł na tak dobrą kobietę, jaką była Bronisława Prochalowa. A Jana Siatkę najpewniej zabiła jakaś prostytutka wraz ze swoim alfonsem.

Tak zeznawali młodzi ludzie.

---

## W POGONI ZA ŻŁOTĄ „DOXA”

---

Prowadzący śledztwo, zarówno milicja, jak i prokuratura, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że poszlaki, jakimi rozporządzają w stosunku do aresztowanych, są bardzo słabe. Łatwo byłoby je na sali sądowej całkowicie podważyć. Wystarczyłyby obecne tłumaczenia się podejrzanych. Żaden ze świadków, tych, którzy widzieli Bogusława Polewnika paradującego w płaszczu zabitego Jana Siatki nie mógł podać daty. Żaden ze świadków przecież nie notował ani dnia, ani godziny spotkania z młodym człowiekiem, kiedy ten miał na sobie jasny płaszcz.

Poza tym nie udało się też ustalić dokładnego terminu popełnienia morderstwa na Janie Siatce. Brakowało zatem konkretnego dowodu, że Polewnik nosił ten płaszcz dopiero wtedy, kiedy Siatka leżał martwy na swoim łóżku. Zresztą gdyby się taki dowód znalazł, byłby jedynie wskazówką, że syn dozorca wszedł w posiadanie płaszcza drogą — choćby — kradzieży, ale nie stanowiło to dowodu morderstwa.

Takimi dowodami, obciążającymi obu młodych ludzi o udział w morderstwie, byłoby odnalezienie rzeczy zrabowanych w mieszkaniu Bronisławy Prochalowej bądź tych, które miał przy sobie Wojciech Myszka, oraz stwierdzenie, że to właśnie Wiktorcik lub Polewnik byli pierwszymi sprzedawcami tych przedmiotów. Zebrało się ich sporo. Trzy zegarki, w tym dwie „Doxy”, jesionka w jodelkę, jasny płaszcz, raportówka i biało-niebieski portfelik.

Już w momencie ujawnienia pierwszej zbrodni, zabójstwa Bronisławy Prochalowej, milicja zdawała sobie sprawę, że wykrycie drogi, jaką będą wędrowały skradzione przedmioty, doprowadzi do osoby mordercy. Pilnie obserwowano słynną krakowską „tandętę”, wszystkie komisje i różne miejsca, gdzie mogłoby dojść do tego rodzaju handlu. Także notowani przez milicję krakowskie paserzy byli stale inwigilowani.

Milicja popełniła błąd w swoich posunięciach. Wiadomo, że ludzie z „tandety” lub paserzy nie lubią się zwierzać władzy ze swoich często ciemnych interesów. Kiedy pytano ich o zegarki firmy „Doxa” albo o jesionkę w jodelkę, odpowiadali krótko i lakonicznie — nic nie widzieli i o niczym nie słyszeli. Gotowi byłiby przysięgać, że w ogóle nie wiedzą o istnieniu firmy „Doxa” i o tym, że krawcy szyją jesionki z materiału w jodelkę. Kto chce się przyznawać do handlu przedmiotami pochodzącymi z kradzieży?

W tej sytuacji najrzęczniejsi wywiadowcy MO nie zdobyli żadnych interesujących wiadomości o poszukiwanych przedmiotach.

Milicja postanowiła zastosować inną taktykę. Odwołać się do solidarności grupki drobnych handlarzy. Przecież Bronisława Prochalowa była jedną z nich. Zajmowała się zbieraniem złomu, makulatury i butelek, nie gardziła jednak innymi sposobami zarobienia kilku złotych. Jeżeli trafił się jej jakiś towar, sprzedawała go na tandecie, „na ręczniku”, albo wchodziła w porozumienie z właścicielami stałych stoisk i im wstawiała to, co miała na zbyciu. W tym środowisku znano ją i lubiano. Tragiczna śmierć tej kobiety odbiła się szerokim echem na targowisku.

Teraz milicja postanowiła ograniczyć swoje poszukiwania do jednej rzeczy, do złotej „Doxy”. Przedmiot o stosunkowo dużej wartości i łatwy do zapamiętania. Nie często bowiem handluje się na tandecie tego rodzaju biżuterią. Złoto ludzie noszą raczej do komisów, ale tego zegarka do żadnego komisju nie przyniesiono.

Postanowiono nie kryć się z tym, że wywiad dotyczy zegarka zrabowanego w mieszkaniu Prochalowej, a także zapewnić wszystkich ewentualnych informatorów o całkowitej dyskrecji i nie pociąganiu do odpowiedzialności. Prokuratura miała wiele zastrzeżeń co do legalności wchodzenia w porozumienie z ludźmi, którzy wiedzieli lub powinni wiedzieć, że kupują rzecz pochodzącą z kradzieży. Jednakże oficerowi prowadzącemu dochodzenie udało się przekonać przedstawiciela wymiaru oskarżenia, że mniejszym złem będzie przyknięcie oka na drobne przestępstwo, niż pozostawienie na wolności groźnych bandytów. Wprawdzie ci domniemani przestępcy znajdowali się aktualnie w areszcie milicyjnym, ale jeżeli nie zdobędzie się przeciwko nim przekonujących dowodów, wkrótce zostaną zwolnieni.

Nowa metoda postępowania milicji okazała się słuszną. Już na drugi dzień jeden z wywiadowców uzyskał ciekawe informacje. Pewien właściciel budki z „odzieżą ciężką” przypomniał sobie, że pewnego dnia, mniej więcej w miesiąc po zabójstwie Bronisławy Prochalowej, przyszedł do niego jakiś klient i zaczął targować zimowe palto. Sprzedawca zapamiętał tego klienta. Był to mężczyzna niskiego wzrostu, mocnej budowy. Twarz raczej okrągła, nos dosyć duży, podbródek mocno zarysowany. Cechę szczególną stanowiły jasne, mocno sfalowane włosy. Gdyby zrobić portret z tego opisu, wypisz, wymaluj, konterfekt Bogusława Polewnika.

Kiedy klient wybrał odpowiadające mu palto, rozpoczęły się zacięte targi o cenę, jak to zwykle bywa na „tandecie”. Wreszcie zgodzono się i mężczyzna już w nowym stroju sięgnął do kieszeni, ale nie wyjął z niej portfela z pieniędzmi, lecz złoty zegarek firmy „Doxa”. Zamiast pieniędzy zaproponował handlarzowi zegarek, ale pod warunkiem, że właściciel budki doloży jeszcze pewną sumę.

Transakcja nie doszła jednak do skutku i to nie dlatego, że kupiec miał jakieś obiekcje do tej formy handlu. Po prostu obawiał się, że ten zegarek jest zwykłą „pasówką”, w której tylko werk jest oryginalny, reszta to szmelc. Podejrzał, że oprawa nie jest ze złota, lecz z mosiądzu odpowiednio pozłacanego. Przemawiała za tym zbyt przystępna cena. Złoty zegarek musiałby kosztować ze dwa razy więcej niż suma wymieniona przez amatora palta. Na „tandecie” próby takich oszustw są na porządku dziennym.

Wywiadowca milicji po wysłuchaniu opowieści

kupca doszedł do słusznego wniosku, że jeżeli posiadacz złotej „Doxy” raz spróbował upłynnić ją w ten sposób, na pewno będzie go powtarzał do skutku. Rzadko bowiem przestępcy odznaczają się taką fantazją, aby stosować odmienne chwytły. Milicjant odwiedzał pozostałe budki z odzieżą i prywatne sklepy. Wszędzie stawiał sprawę jasno: chodzi o wykrycie mordercy Bronisławy Prochal. Milicja nie będzie miała żadnych pretensji do nabywcy, który przecież, jak to zapewniał solennie wywiadowca, kupił złoty zegarek w dobrej wierze i niczego się nie domyślał.

— Właśnie — stwierdził jeden ze sklepikarzy — całkowicie uwierzyłem temu człowiekowi. Wyglądał tak niewinnie, mówił, że na zimę ważniejszy jest węgiel i ciepłe okrycie niż złoty zegarek, że od pewnego czasu nie ma furtki i dlatego musi się z tym zegarkiem rozstać.

Opis klienta pokrywał się z opisem podanym przez poprzedniego handlarza.

— A gdzie jest zegarek? — zapytał milicjant.

— Nie mam go. Czy to ja jestem taki bogacz, aby nosić złote „Doxy”?

— To co się z nią stało? — dopytywał wywiadowca. — Niech pan się nie boi. Przecież powiedziałem, że wszystko, co się tu mówi, pozostanie między nami. Nas nie nie obchodzi, ile ludzie zarobili, kiedy ten zegarek przechodził przez ich ręce. Nam, tylko chodzi o wykrycie zabójców Bronisławy Prochal. Ją nieszczęście spotkało wczoraj, pana albo kogo innego choćby jutro.

— Ja to rozumiem. Ale ja naprawdę nie mam tego zegarka. Za bogato wyglądał. Jakby tak ktoś z Wydziału Finansowego zobaczył go na moim ręku, od razu bym domiar dostał i to taki, że bym się nie pozbierał — tłumaczył kupiec nie bez pewnej dozy słuszności.

— Przecież pan go do Wisły nie wrzucił?

— No, nie — niechętnie przyznał kupiec.

— Wykrztuś pan wreszcie, co się z nim stało.

— Pojechał daleko. Aż do Szydłowca. Tam jest taki chałupnik, który wstawia mi towar. A że nie miałem akurat wolnej gotówki, pan wie, jak to jest w handlu, czasami tygodniami zarobi się tyle co kot napłakał, a potem jednego dnia trafia się okazja. Temu chałupnikowi dałem „Doxę” w rozliczeniu.

Wywiadowca zanotował adres chałupnika, podziękował kupcowi za „cenne informacje”, uprzedził go, że dostanie wezwanie do komendy milicji dla sporządzenia formalnego protokołu i jednocześnie uspokoił, że nie grożą mu żadne konsekwencje.

wenę — i ze świeżymi wiadomościami pomaszewował wprost do prowadzących śledztwo.

Tutaj otrzymał zasłużoną pochwałę.

— Widzi pan, panie prokuratorze — powiedział zadowolony oficer dochodzeniowy — że nasza metoda okazała się słuszną. Idę o największy zakład, że inaczej niczego byśmy się nie dowiedzieli. Przecież całą „tandętę”, nie wyłączając tych dwóch kupców, nie raz i nie dwa „przechesywali” nasi ludzie. Nikt pary z gęby nie puścił.

— Tak, tak — prokurator nadał miał co do tego obiekcje — udało się, ale teraz rozniesie się pogłoska, że w Krakowie tolerują paserstwo. Takie są moje zastrzeżenia.

— Ci ludzie działali w dobrej wierze. O umyślnym paserstwie nie ma nawet mowy — gorąco zapewniał oficer milicji — oni sami nam to zeznali.

Prokurator roześmiał się.

— Już dobrze, dobrze — skapitulował — ale co dalej?

— Jutro dwóch naszych ludzi pojedzie do Szydłowca. Do tego chałupnika.

— On także działał w dobrej wierze?

— Nie wątpię — tym razem roześmiał się oficer milicji — że złoży i podpisze nam deklarację tej treści. Ale gotów jestem współpracować nawet z samym diabłem, aby Polewnikowi i Wiktorowi dowieść winy.

— Niech pan robi to, co pan uważa za stosowne — prokurator zostawił milicji wolną rękę — sam widzę, że inaczej tej sprawy nie rozgryziemy.

Chałupnik z Szydłowca nie znał Bronisławy Prochal, nigdy o niej nie słyszał, a bestialskie zamordowanie tej kobiety uszło w ogóle jego uwagi, chociaż cała prasa w swoim czasie sporo o tym pisała. Ten człowiek bał się więc o własną skórę i niczyt dowierzał przybyłym z Krakowa.

— Chce pan z nami jechać do Krakowa, abyśmy go oficjalnie skonfrontowali z właścicielem sklepu? Może pan także zaprzeczy, że wstawił pan do niego swoje wyroby? Bo co panu ta fatyga, nieprzyjemności, strata czasu — tłumaczył jeden z wywiadowców milicji — a nam ten cały kram? Myśli pan, że to dla nas taka przyjemność wieść kogoś pod konwojem, czy tutaj prowadzić do Komendy Powiatowej MO?

— Przecież wiemy — zapewniał drugi milicjant — że działał pan w dobrej wierze. Był pan przekonany, że kupiec daje panu swój własny zegarek. Nie wiedział pan, w jaki sposób pański

kontrahent go nabył. Nie ma żadnych przepisów zakazujących takich transakcji, że za sprzedany towar bierze się złoto a nie złotówki. My panu wierzymy, niech i pan nam zaufa.

Namawiany trochę prośbą, trochę groźbą chałupnik wreszcie „przypomniał” sobie, że istotnie kiedyś na nalegania swojego partnera, który akurat znalazł się w dość trudnej sytuacji finansowej zgodził się w rozliczeniu wziąć złotą „Doxę”.

— Ma pan ją jeszcze?

— Nie mam.

— A co się z nią stało?

— Sprzedałem.

— Komu?

— Bo ja wiem?

— Stał pan na ulicy i krzychał „do zegarków, do zegarków”! Ludzie podchodzili i kupowali... Komu pan będziez takie głodne kawałki opowiadał?

Chałupnik zrozumiał wreszcie, że się nie wykręci. Skoro powiedział „a”, musi powiedzieć „b”. Ci dwaj gotowi rzeczywiście zafundować mu przejazd do Krakowa na koszt skarbu państwa i kto wie, czy tam także nie wystarają mu się o bezpłatny wikt i opierunek? Lepiej im zaufać, może naprawdę świni nie podłożą?

— Sprzedałem w komisie w Kielcach — wyjaśnił.

— Dawno?

— Gdzieś w marcu. Ja także potrzebowałem gotówki na zakup materiałów. Wiadomo, trzeba się odpowiednio przyszykować do sezonu letniego.

— Sam pan wstawił do komisju? — wywiadowca znał zwyczaj inicjatywy prywatnej.

— Nic. Prosiłem żonę pewnego znajomego. Uszyłem jej za to letni płaszcz. Ale z jej materiału — zastrzegł się krawiec.

Dalej już poszło łatwo. W Kielcach, w sklepie komisowym, odnaleziono kwity dotyczące przyjęcia, a następnie sprzedania złotej „Doxy”. Na kwicie figurował także numer fabryczny zegarka. Nic to wprawdzie nie mówiło, bo Bronisława Prochalowa nabyła swój skarb nie w żadnym zakładzie zegarmistrzowskim, lecz również „z wolnej ręki”, najprawdopodobniej od kogoś, kto zegarek przywiózł z zagranicy. Wtedy przemysł do kraju zegarków był jedną z najbardziej opłacalnych transakcji handlowych pewnej kategorii „turystów”.

Natomiast Stanisław Prochal doskonale sobie przypomniał, że na pokrywe „Doxy” widniało

dość głębokie nacięcie zrobione scyzorykiem. Zapewne zegarek, zanim trafił do pani Prochalowej, przechodził dość długą drogę. Jeden z kolejnych nabywców próbował stalowym ostrzem czy to naprawdę złoto, a nie pozłacany nikiel.

Przyjmując towar do komisju, skrupulatna ekspedientka zaznaczyła na kwicie, że wieszko ma taką rysę. Obawiała się, że sprzedająca zegarek mogłaby z tego tytułu wnosić jakieś pretensje i wmawiać, że uszkodzenie powstało właśnie w sklepie komisowym.

Bez trudu znaleziono nabywcę „Doxy” i wreszcie zegarek powędrował do dowodów rzeczowych. Świadkowie: Stanisław i Kazimierz Prochalowie rozpoznali go jako własność Bronisławy Prochalowej. Natomiast obaj handlowcy z „tandety”, gdy im pokazano kilkanaście fotografii różnych ludzi, bezbłędnie i bez namysłu wybrali zdjęcie Bogusława Polewnika jako tego, który oferował im kupno złotego zegarka.

Na „tandecie” wszystkie wiadomości rozchodzą się z szybkością błyskawicy. Rozmowy milicji ze sprzedawcami odzieży nie pozostały tajemnicą. Także i wyprawa do Szydłowca oraz do Kielc była znana w tym środowisku już chyba na długi dzień. Aresztowaniem Bogusława Polewnika i Tadeusza Wiktorka nikt tam się nie interesował, bo młodzi ludzie nie byli „z branży”, chociaż często kręcili się po targowisku. Teraz jednak skojarzono fakty i działalność milicji znalazła uznanie w tym świątku. A to się na ogół bardzo rzadko zdarza.

Języki zaczęły rozwiązywać się na dobre. Teraz nie wywiadowcy szukali informacji, lecz ludzie sami przychodzili z wiadomościami. Co innego bowiem jakiś drobny kant lub oszustwo na gatunku sprzedawanego towaru, a nawet kupno rzeczy pochodzącej z kradzieży — w tych kołach to żaden grzech — a co innego morderstwo popełnione z wyjątkowym bestialstwem i to morderstwo na jednej z kobiet z tego środowiska.

Powoli więc milicja kompletowała zrabowane rzeczy. Odnaleziono ślady jesionki w jodelkę. Później zbiory dowodów rzeczowych uzupełnił jasny płaszcz z podpinką. Odnalazła się także i druga, ta metalowa „Doxa”, którą na rękę nosił zamordowany kierowca Wojciech Myszka.

Odnaleziono, o dziwo, biało-niebieski portfelik, który niegdyś Myszka dostał od jakiegoś cudzoziemca w zamian za pomoc przy naprawie samochodu. Miał go kelner jednej z krakowskich knajp. Tadeusz Wiktorek, doskonale zresztą

znany z widzenia przez tegoż kelnera, nie miał kiedyś pieniędzy na zapłacenie za piwo czy za wypitą wódkę i w zastaw dał portfelik. Zresztą nigdy się po niego nie zgłosił i nie próbował odzyskać.

Również ten pracownik gastronomii wśród okazanych mu dwudziestu fotografii różnych mężczyzn bez trudu odnalazł właściwe zdjęcie — Tadeusza Wiktorka.

Pogoń za zrabowanymi przedmiotami, która początkowo wydawała się bez żadnych szans, zakończyła się pełnym sukcesem milicji. Jedyne starej raportówki nie udało się odnaleźć. Natomiast prowadzący dochodzenie ustalili „po drodze”, dodatkowy, drobny, ale jakże pasujący do całej sprawy szczegół. Oto Tadeusz Wiktorek znany był wśród znajomych jako doskonały wróżbita. Po paru piwach lub wódkach chętnie wróżył z kart lub z ręki i zawsze nosił przy sobie talię „obrazków”

---

## POLEWNIK PRYZNAJE SIĘ DO WINY

---

Myliłby się ten, kto by sądził, że te niezaprzeczalne sukcesy przysły milicji łatwo i szybko. Przeciwnie. Próby znalezienia każdego ze zrabowanych przedmiotów trwały całe miesiące. Cóż z tego, na przykład, że pewien handlarz na „tandecie” zeznał, iż kupił kiedyś jesionkę w jodelkę od osobnika z wyglądu przypominającego Tadeusza Wiktorka. Taka informacja z pozoru ważna, była jednak dla prowadzącego śledztwo bez znaczenia tak długo, dopóki nie odnaleziono tej jesionki i nie stwierdzono, że stanowiła ona przed tym własność zamordowanego Wojciecha Myszkę.

A przecież, pozostaliśmy przy tym jednym przykładzie, handlarz starał się jak najszybciej sprzedać jesionkę. Nie legitymował swojego klienta ani zbytnio mu się przyglądał. Ile zatem wysiłku i czasu kosztowało milicję, aby na podstawie bardzo nikłych wskazówek jednak trafić do aktualnego posiadacza tego palta.

To nie była błyskotliwa praca powieściowego Sherlocka Holmesa, lecz żmudne poszukiwania prowadzone nieraz przez dziesiątki osób. Poszukiwania, które jakże często kończyły się komplet-

nym fiaskiem, bo jesionek w jodelkę w tamtych latach było bardzo wiele. Bez przesady, co piąty krakowianin miał taką na grzbiecie

A jednak krok za krokiem śledztwo posuwało się naprzód. Już teraz prokurator nie narzekał na metody pracy milicji. Doświadczony prawnik zorientował się szybko, że w inny sposób niczego by nie osiągnęto.

W miarę zdobywania dowodów obciążających obu podejrzanych, nasilały się i inne czynności śledztwa. Milicja i prokurator przesłuchiwali Bogusława Polewnika i Tadeusza Wiktorka. Pokazywali im odzyskane przez milicję przedmioty, które zrabowano zamordowanym ofiarom. Odbywały się także konfrontacje obu młodych ludzi ze świadkami.

Zarówno Polewnik jak i Wiktorek przyjęli jednakową taktykę obrony — zaprzeczania wszystkiemu i kłamania w żywe oczy.

Dochodzi do konfrontacji kelnera z Tadeuszem Wiktorkiem. Na stole leży biało-niebieski portfelik. Pada pytanie skierowane do kelnera:

— Zna pan ten portfelik?

— Tak. Miałem go. Milicja mi go odebrała.

— Skąd pan miał ten portfelik?

— Otrzymałem go od stojącego naprzeciwko mnie człowieka. Nie miał pieniędzy na zapłacenie za piwo, więc w zastaw dał mi ten portfel.

— Czy pan się nie myli? Czy to na pewno ten mężczyzna?

— Nie mam żadnych wątpliwości. Ten pan bywał częstym gościem w naszym lokalu. Zwykle przychodził z drugim, niskim i krępy, o jasnych, kręjących się włosach.

— Kiedy ten pan zostawił portfel?

— To było na pewno po pierwszym maju. Drugiego albo trzeciego. Pamiętam dobrze, bo pierwszego maja mieliśmy rano zakład zamknięty, a ci panowie przyszli około godziny jedenastej w południe zaraz po święcie.

— A potem ten mężczyzna przychodził do waszego zakładu?

— Często. Raz, dwa razy w tygodniu.

— Chciał wykupić zastaw?

— Nigdy o tym nie mówił. Ja także nie upominałem się, bo portfel był ładny i oryginalny. Zatrzymałem go dla siebie. Gdyby ten pan zwrócił dług i zażądał oddania mu zastawu, musiałbym to zrobić.

Teraz prowadzący konfrontację zwraca się do Tadeusza Wiktorka.

— Co wy na to?

— Ten człowiek kłamie. Został namówiony przez milicję. Nigdy tego portfela nie miałem. Nie wiem, kto był jego właścicielem. Nigdy nie byłem w restauracji na Floriańskiej. W ogóle bardzo rzadko tamtędy chodzę. Tego człowieka nigdy nie widziałem. Chcecie mnie przypuścić do sprawy zabójstwa Wojciecha Myszk. Wmawiacie we mnie, że to on miał taki portfel i teraz nasylacie fałszywych świadków. To się wam nie uda.

Na tym konfrontację przerwano. Wiktorek odmówił podpisania protokołu.

Mniej więcej tak samo kończyły się pozostałe protokoły przesłuchania podejrzanych. Prokurator rozporządzał już jednak tyłoma przekonywającymi dowodami, że milczenie obu mężczyzn nie hamowało śledztwa. Dobiegało ono do końca i prawnicy zajęci byli jedynie segregowaniem dokumentów oraz przygotowaniem do sporządzenia aktu oskarżenia. Sprawa niespodziewanie się rozrosła. W kilkunastu tomach znajdowały się zeznania kilkuset osób, z których co najmniej kilkudziesięciu prokurator zamierzał powołać na rozprawę w charakterze świadków.

W dniu 23 marca 1961 roku, a więc przeszło w rok po tym, jak prokurator podpisał nakaz uwięzienia Bogusława Polewnika, przesłuchiwano go po raz nie wiadomo który z rządu na okoliczności śmierci Jana Siatki. Ku pewnemu zaskoczeniu oficera dochodzeniowego, tym razem Polewnik po raz pierwszy przyznał się do zamordowania byłego sierżanta i szczegółowo opisał przebieg tej zbrodni. Zeznania nie tylko spisano w protokole milicyjnym „przesłuchania podejrzanego”, ale także nagrano je na magnetofon.

Polewnik zeznał długo ze wszystkimi detalami. Kilkakrotnie przerywał swoją spowiedź i wybuchał płaczem.

Natychmiast zawiadomiono prokuratora o tym nowym zwrocie śledztwa. Już nazajutrz, to jest dwudziestego czwartego marca, i on przesłuchał Bogusława Polewnika. Młody człowiek nie tylko potwierdził swoje zeznania złożone przed oficerem milicji, ale uzupełnił je nowymi szczegółami. Z tych zeznań również sporządzono dokładny protokół i również nagrano na taśmę magnetofonową.

Początkowo Bogusław Polewnik twierdził, że nie pamięta dokładnie daty, ale zdarzyło się to gdzieś w drugiej połowie października 1958 roku. Tego dnia Polewnik i Wiktorek zarobili kilkadziesiąt złotych. Syn dozorca nie pamiętał w jaki sposób. Bodajże zanieśli lokatorowi na drugie

piętro kilka wiader węgla z piwnicy czy też z pobliskiego składu opałowego. Dość że za zarobione pieniądze kupili dwie butelki mocnego wina owocowego i z tym alkoholem udali się do meliny Jana Siatki.

Zaczęła się libacja. Wino pite raczej na pusty żołądek szybko podziało. Nie upłynęło i półtorej godziny, kiedy cała trójka miała już dobrze w czubie.

Wtedy swoim zwyczajem Tadeusz Wiktorok wyciągnął z kieszeni talię używanych, mocno zatłuszczonych kart. Zaczął wróżyć obu współbiesiadnikom. Te wróżby owego dnia wypadły wręcz fatalnie. Polewnika miały czekać w najbliższych dniach duże nieprzyjemności, zaś Janowi Siatce wypadł jako los — as trefl. Wiadomo, to oznacza śmierć.

— Już mi kiedyś, przed laty, jakaś Cyganicha podsunęła tego samego asa. Także plotła głupia baba o śmierci. I co? I nic. Dobrze mi się żyje. To nie dla mnie powinienes wyciągać tego asa, tylko dla Bogusława. Jemu śmierć pisana, bo albo ja się zdenerwuję i sprzątnę drania, albo się nim przedzej czy później zajmie kat.

Polewnik z miejsca odciał się gospodarzowi i przygadał mu, że przy jego sposobach zarobkowania on najszybciej z nich trafi do więzienia lub nawet w ręce Maciejewskiego. Od słówka do słówka, kłótnia stawała się coraz bardziej zażarta. Podniecony alkoholem Polewnik w pewnej chwili przestał panować nad sobą. Pochwyił stojącą na stole pustą butelkę i z całej siły uderzył Jana Siatkę w głowę. Zalany krwią, nieprzytomny człowiek zwałił się na podłogę przewracając krzesło, na którym siedział.

Obaj pijacy przerazili się nie tyle swojego czynu, co ewentualnych jego skutków. Przenieśli nieprzytomnego Jana Siatkę na łóżko.

— Kiedy odzyska przytomność — powiedział Wiktorok — pójdzcie z pyskiem do komisariatu albo sam siebie zabije. Pamiętasz, jak ci raz sprawił wycisk?

— Trzeba go wykończyć, żeby nie gadał — postanowił Polewnik. — Weź tę siekiere, co leży pod piecem, i zrób z nim porządek.

Wiktorok bez najmniejszego sprzeciwu spełnił polecenie. Stylikiem siekiery dobił nieprzytomnego. Z ręki zabitego ściągnęli zegarek radzieckiej marki, kieszenie opróżnili z gotówki! Mało się obłowili, bo niewiele tego było, zaledwie kilka setek i trochę drobnych. Poza tym Polewnik zabrał płaszcz, a Wiktorok raportówkę Jana

Siatki. Wychodząc przezornie wytarli jakimś ręcznikiem zarówno szklanki po winie jak również butelki i styliisko siekiery. Drzwi zamknęli kluczami Siatki, klucze wrzucili do kanału.

Co do śmierci Wojciecha Myszki, Polewnik również złożył wyczerpujące zeznania.

Według niego przebieg wypadków przedstawiał się następująco. Dwudziestego szóstego marca, kiedy syn dozorecy był sam w mieszkaniu, przyszedł do niego Tadeusz Wiktorok z jakimś nieznanym Polewnikowi mężczyzną. Obaj już trochę podpici. Myszka wyjął z kieszeni biało-niebieski portfelik i dał Bogusławowi pieniądze na dalszą libację. Jak zwykle popijano owocowe wino.

Tego dnia kierowca samochodowy bardzo sobie podchmielił. Zaproponował kontynuowanie zabawy w jakimś lokalu w mieście. Przed opuszczeniem mieszkania Wiktorok schował do kieszeni nie dopitą butelkę wina. Kiedy całe towarzystwo wyszło na ulicę, Polewnik jeszcze wrócił do mieszkania po swoją czapkę, której zapomniał. Dwaj towarzysze zabawy mieli na niego czekać w bramie.

Po powrocie z mieszkania Bogusław zobaczył w bramie leżącego na ziemi Wojciecha Myszke i pochylającego się nad nim Tadeusza Wiktoroka. Obok leżała pusta butelka. Wiktorok tłumaczył się, że w czasie czekania pomiędzy nim a Myszką doszło do sprzeczki i Tadeusz uderzył kierowcę butelką w głowę.

Nieprzytomnego szybko zaciągnęli do piwnicy. Tutaj stwierdzili, że Wojciech Myszka już nie żyje.

Co robić? Na szczęście dla zabójcy zabrakło świadków zajścia. Nikt nie widział przebiegu zbrodni, nikt też nie wchodził ani nie wychodził z domu, gdy w bramie leżał Myszka. O przetransportowaniu zwłok i porzuceniu ich w jakimś odludnym miejscu nie było mowy. O zameldowaniu milicji o tym, co się stało, żaden z dwóch dobranych przyjaciół nawet nie pomyślał. Wiktorok zaproponował, aby zwłoki zakopać w boksie piwnicznym dozorczyńi domu, na co jednak Polewnik się nie zgodził. Korzystając natomiast z tego, że korytarza nie pokrywał ani beton, ani nawet zwykła podłoga, postanowiono tam wykopać dół.

Tymczasem, aby zbrodnia się nie wydała, zwłoki Myszki umieszczono w piwnicy dozorczyńi. Polewnik pobiegł na górę po łopaty i kilof. Ziemia w korytarzu okazała się bowiem bardzo twarda. Ubita tysiącami nóg przez dziesiątki lat. Dom ten, jak większość krakowskich kamienic w śródmieściu, był stary

Szybko wykopali głęboką mogiłę. Szczęście nadal im sprzyjało. Do piwnicy nikt w tym czasie nie zajrzał. Przed umieszczeniem zwłok w prowizorycznym grobie, zrewidowali dokładnie ubranie i co się dało ukraść — ukradli. Polewnik zabrał nikłowy zegarek marki „Doxa” oraz jesionkę. Przyjacielowi wspaniałomyślnie pozostawił biało-niebieski portfelik z niewielką sumą pieniędzy. Pieniądże te następnie dobrana dwójka przepiła jeszcze tego samego dnia. Dokumenty, jakie miał przy sobie Myszka, powędrowały do kanału. Przestępcy starali się tak postępować, aby na wypadek odkrycia zwłok nie można ich było zidentyfikować.

Mogiłę starannie wyrównali i miękką ziemię dokładnie udeptali nogami. W piwnicy dozorczeni pełno było różnego złomu. Całymi latami wszystko, co wyrzucali mieszkańcy domu na podwórze, wędrowało tutaj. Polewnik zamierzał kiedyś sprzedać te żelastwa w najbliższej składnicy złomu, lecz stanęło temu na przeszkodzie jego wrodzone lenistwo. Nigdy nie mógł się na to zdobyć. Teraz wyciągnęli nie rupiecie metalowe i zakryli nimi jaśniejszy prostokąt korytarza.

Przestępcy wówczas nie przypuszczali, że właśnie ta kupa złomu tak bezsensownie zagradzająca przejście korytarzem zwróci uwagę milicji i przyczyni się do stosunkowo szybkiego wykrycia zbrodni. Kto wie, gdyby nie to żelastwo, Wojciech Myszka jeszcze wiele lat mógłby przeleżeć w tym zaimprovizowanym grobie. A wtedy żadne próby identyfikacji nie odniosłyby skutku.

Kiedy się przegląda akta tej sprawy w archiwum sądu wojewódzkiego w Krakowie, odnosi się jedno wrażenie. Ta niepotrzebna zbrodnia została popełniona jedynie dlatego, że Tadeusz Wiktorrek chciał dorównać swojemu idolowi. Bogusław Polewnik zabił Jana Siatkę jednym uderzeniem butelki, Wiktorrek postanowił pokazać, że i on to potrafi. Polewnik zabił podczas kłótni, Tadeusz również wywołał sprzeczkę z byłym towarzyszem pracy. Naturalnie trudno pominąć rolę, jaką w obu tych zbrodniach odegrał alkohol.

Placząc i deklamując, że żałuje popełnionej zbrodni, Polewnik w swoich zeznaniach wykazał bardzo wiele sprytu. Przyznał się do zadania ciosu butelką w głowę Janowi Siatce, ale ciężar winy zwałił na swego kompana. To Tadeusz Wiktorrek dobił byłego sierżanta. Zrobił to z premedytacją. On, Polewnik, podczas kłótni znajdował się w

stanie silnego podniecenia. Przy zabójstwie Wojciecha Myszkę w ogóle był nieobecny. Jedynie pomagał w ukryciu zbrodni. Zbrodnia w afekcie czy pomocnictwo w ukryciu przestępstwa, a nawet handel przedmiotami zdobytymi w drodze zabójstwa, to wszystko nie są czyny, za które groziłaby kara główna. Polewnik tak grał z prokuratorem, aby ocalić własną głowę i wykreślić się od kary śmierci. To, że w ten sposób „topił” przyjaciela, wcale go nie wzruszało.

Co innego, gdyby przyszło się tłumaczyć z morderstwa popełnionego na Groblach. Tam już nie było żadnych okoliczności łagodzących. Zbrodnia z góry uplanowana, popełniona z wyjątkowym bestialstwem.

Dlatego też tym czynem Polewnik postanowił obciążyć Tadeusza Wiktorę. On o tej zbrodni nic nie wiedział. Nawet się nie domyślał, że jego najbliższy kompan planuje taki rabunek i morderstwo. O tym, że Bronisława Prochalowa nie żyje, Bogusław dowiedział się dopiero z „Echa Krakowa”. I dopiero wówczas domyślił się, że sprawcą jest Tadeusz Wiktorrek, gdy pewnego dnia przyjaciel poprosił go o pomoc w sprzedaży złotej „Doxy”.

Tego zegarka także zresztą syn dozorczeni nigdy nie widział. Kazimierz Prochal chwalił się, że otrzyma od matki właśnie taki prezent ślubny. Wyłącznie na tej podstawie Polewnik przypuszczał, iż Wiktorrek uczestniczył w tamtym przestępstwie.

Ta ostatnia część zeznań broniącego swojej głowy Bogusława Polewnika była zupełnie nieporadna i nieprzekonywająca. Na naiwnych kłamstwach każdy mógł się poznać, nie trzeba było do tego znawców kryminalistyki. Bronisława Prochalowa wpuściła mordercę do mieszkania. Nie zachowała wobec niego żadnej ostrożności. Był więc człowiekiem, którego znała i miała do niego zaufanie. A tymczasem żaden z licznych świadków, włącznie ze wskazanymi przez syna dozorczeni, nie potwierdził znajomości Prochalowej z Tadeuszem Wiktorkiem. Natomiast wynik oględzin zwłok wypadł na niekorzyść Polewnika. Ustalono bowiem, że cios zadany butelką był czynem człowieka praworęcznego. Praworęczny był właśnie Bogusław Polewnik. Tadeusz Wiktorrek był mańkutom.

Nic biorąc zatem pod uwagę wykrętnych zeznań złożonych przez Bogusława Polewnika, prokurator sporządził akt oskarżenia. Zarzucał w nim Polewnikowi, obok mniejszych przestępstw,

zabójstwo Bronisławy Prochalowej oraz udział w zabójstwie Jana Siatki i Wojciecha Myszki. Tadeusza Wiktorka oskarżył o współudział w zabójstwie Siatki i Myszki

## SENSACJA NA SALI SĄDOWEJ

Prokurator sporządził akt oskarżenia. Oskarżał w nim Bogusława Polewnika o trzy morderstwa: Bronisławy Prochalowej, Jana Siatki i Wojciecha Myszki. Tadeusz Wiktorcik oskarżony został o udział w dwóch zbrodniach. Obydwu zarzucono także rabunek. Proces miał się rozpocząć przed sądem wojewódzkim w Krakowie w pierwszych dniach lutego 1962 roku. Przewidywano, że rozprawa potrwa około dwóch tygodni. Zarówno prokurator jak i obrona zgłosili po kilkunastu świadków. Obie strony przystępując do procesu uważały, że właściwie wszystko jest już wyjaśnione. Główny sprawca, Bogusław Polewnik, przyznał się przecież do zabójstwa Jana Siatki i do udziału w ukryciu zwłok Wojciecha Myszki. Poza tym „sypał” swojego towarzysza Tadeusza Wiktorka, a przede wszystkim oskarżył go o zamordowanie Bronisławy Prochalowej. Prokurator był zupełnie pewny, że w tym przestępstwie młody człowiek bezpośrednio nie uczestniczył, a jedynie był pomocnikiem. Liczył też prokurator, że milczący dotychczas Wiktorcik przemówi na sali sądowej i — aby odeprzeć niesłuszny zarzut postawiony przez przyjącego — wyjaśni, jak to naprawdę było z tym przestępstwem. Obrona przyjęła podobną linię postępowania i jedynie starała się wskazać okoliczności łagodzące, aby swoich klientów ustrzec przed karą główną. Przy takich kalkulacjach prokuratury i obrony przewodniczącemu sądu wydawało się, że dwa tygodnie to aż nadto na tę rozprawę.

Ale Bogusław Polewnik paroma słowami obrócił w niwecz te wyliczenia.

Rozprawa zaczęła się, jak to zwykle bywa, od ustalenia personaliów obu oskarżonych. Następnie prokurator odczytał akt oskarżenia. Wreszcie przewodniczący sądu zadał Bogusławowi Polewnikowi sakramentalne pytanie:

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Polewnik wstał i mocnym głosem powiedział krótko:

— Nie!

Prokurator z wrażenia podniósł się ze swojego fotela. Również obrońca Polewnika był tym słowem „nie” zupełnie zaskoczony. Przecież nie dalej jak w przeddzień procesu rozmawiał z oskarżonym i ten ani słówkiem nie wspomniał, że zamierza odwołać swoje uprzednie zeznania. Przewodniczący sądu, również zaskoczony oświadczeniem Polewnika, zwrócił się do niego:

— Oskarżony w czasie dochodzenia milicyjnego i w czasie śledztwa złożył wyczerpujące wyjaśnienia milicji i prokuratorowi. Oskarżony przyznał się do zabójstwa Jana Siatki. Czy tak?

— Mam nawet taśmy magnetofonowe — wtrącił prokurator — z nagraniem tych zeznań.

— Zmusili mnie do tego, proszę Wysokiego Sądu — spokojnie odpowiedział Polewnik.

— Kto zmusił oskarżonego?

— Ten nietoperz — Polewnik wskazał ręką na prokuratora.

Na sali rozległy się śmiechy. Nie trzeba chyba dodawać, że największa sala w sądzie krakowskim była wypełniona do ostatniego miejsca i nie brakowało w niej koleżków obu oskarżonych. Przewodniczący stanowczym ruchem ręki uciszył salę i zwrócił uwagę oskarżonemu, aby się stosownie wyrażał.

— W jaki sposób zmuszano was do złożenia takich zeznań\* i przyznania się do udziału w zabójstwie? Bito was?

— Nie.

— Stosowano inne formy przymusu fizycznego czy psychicznego?

— Nie.

— Więc jak, mówcie? — przewodniczący usiłował zachować cierpliwość.

— Gdyby pana przewodniczącego lub innych panów sędziów tak przesłuchiwali przez cały rok co parę dni, panowie także by się przyznali. Chciałem mieć spokój, dlatego opowiedziałem im bajeczkę.

— Wysoki Sądzie! — obrońca Polewnika zerwał się ze swojego miejsca — proszę o zaprotokółowanie, że oskarżony Bogusław Polewnik nie przyznaje się do winy i odwołuje zeznania złożone w śledztwie pod wpływem przymusu psychicznego.

— Od kiedy to przesłuchiwanie podejrzanego przez prokuratora jest przymusem psychicznym? — replikował oskarżyciel publiczny.



— Zwracam panu mecenasowi uwagę na nie stosowność tego rodzaju odezwania się — interweniował przewodniczący sądu.

— Przepraszam, wycofuję swój zarzut — obrońca uznał, że temperament poniósł go nieco za daleko — proszę o zaprotokółowanie, że oskarżony odwołuje swoje zeznania złożone w śledztwie i nie przyznaje się do udziału w zarzuczanych mu przestępstwach.

— Tadeusz Wiktorek, proszę wstać.

Oskarżony wstał.

— Przyznajecie się do winy?

— Nie! — Wiktorek był konsekwentny. On nigdy nie przyznał się do niczego. Podczas dochodzenia i śledztwa wszystkiemu systematycznie zaprzeczał. — Oni mnie także chcieli zmusić, abym się przyznał, ale ja się nie dałem.

Przewodniczący dał znak oskarżonemu, że może usiąść. Nie widział potrzeby, aby znowu rozwijać kwestię, co jest, a co nie jest przymusem stosowanym wobec aresztowanych.

Prokurator napisał coś na małej karteczce i poprzez ławnika i jednego z sędziów podał ją przewodniczącemu. Trzeba tu wspomnieć, że w skład sądu wchodziło trzech ławników i dwóch sędziów zawodowych. W takim właśnie składzie sądzi się najcięższe przestępstwa, zagrożone najwyższym wymiarem, karą śmierci.

Przewodniczący rzucił okiem na otrzymaną kartkę i poprosił do siebie obrońcę Bogusława Polewnika. Ten, po przeczytaniu karteczki, coś tłumaczył sędziemu. Widać było, że całkowicie podziela zdanie prokuratora.

Karteczka zawierała jedno zdanie: „Proszę o odroczenie rozprawy na trzy dni”.

Przewodniczący sądu, wybitny prawnik, zdawał sobie sprawę z tego, że prokurator i obrońcy oskarżonych znaleźli się nagle w sytuacji, której nie przewidzieli. Zarówno oskarżyciele jak i obrońcy mieli jedynie na celu zbadanie, jaką rolę w tym procesie o trzy morderstwa spełniał każdy z dwóch oskarżonych. Tymczasem odwołanie zeznań przez Bogusława Polewnika całkowicie zmieniło charakter procesu. Od tej chwili stawał się on poszlakówką, gdzie każde podejrzenie, każdy dowód musiał być precyzyjnie umotywowany i dowiedziony. Do takiej rozprawy oskarżyciel i obrońca nie byli zupełnie przygotowani. Stąd jednomyślność prośby o odroczenie na trzy dni dalszego ciągu rozprawy.

A że formalności wstępne, czytanie aktu oskarżenia i wyjaśnienia oskarżonych trwały już bez

mała trzy godziny, przewodniczącemu nie pozostało nic innego, jak tylko przychylić się do wniosku stron.

Po wznowieniu rozprawy, prokurator i obrońca złożyli wnioski o powołanie nowych świadków. Teraz kluczową pozycją procesu stały się przedmioty zrabowane w mieszkaniu Bronisławy Prochalowej i w mieszkaniu Jana Siatki oraz te, które zabójcy Wojciecha Myszki znaleźli przy nim i albo je sami używali, albo znaleźli na nie nabywców. Prokurator postanowił udowodnić, że długa droga przechodzenia z rąk do rąk tych przedmiotów zaczynała się zawsze albo od Polewnika, albo od Tadeusza Wiktorka. Obrona chciała nie tylko zbić te twierdzenia, ale nawet zakwestionować autentyczność leżących na stole sędziowskim dowodów rzeczowych. Obie strony mogły udowodnić swoje racje tylko za pomocą świadków i po ten dowód sięgnęli jak najbardziej szeroko.

Prokurator zgłosił ponad stu siedemdziesięciu świadków. Obrona była nieco skromniejsza. Jej lista zawierała nieco ponad osiemdziesiąt osób.

Wysoki Sąd był w kłopotcie. Nie bardzo wiedział, co zrobić z tym fantem. Wszyscy orientowali się, sędziowie zawodowi i ławnicy, że większość spośród tych przeszło dwustu pięćdziesięciu świadków nie wniesie do sprawy niczego istotnego. Ale odrzucenie choćby jednego świadka oskarżenia lub obrony daje stronom motyw do wniesienia zarzutów w kasacji i grozi uchYLENIEM wyroku oraz ponowieniem rozprawy w innym już składzie sędziowskim. A zatem w sumie poważne rozciągnięcie procesu w czasie.

W tej sytuacji sąd postanowił uwzględnić wszystkie wnioski, zarówno oskarżenia jak i obrony. Rozpoczął się najdłużej trwający w Polsce proces poszlakowy. Jak się później okazało rozprawa zaczęta w pierwszych dniach lutego 1962 roku trwała prawie do końca czerwca tegoż roku, pomimo że posiedzenia sądu odbywały się początkowo codziennie, a później co drugi dzień.

Przez cały czas rozprawy sala sądu wypełniona była po brzegi. Także ława prasowa stale zajęta, a dzienniki krakowskie zamieszczały długie sprawozdania z przebiegu codziennych rozpraw. Towarzystwo im nie malejące zainteresowanie, tym bardziej że Polewnik i Wiktorek zachowywali się na sali sądowej jak dwaj aktorzy na drugorzędnej scenie teatralnej.

## DOŚWIADCZENIE Z ZEGARKIEM

Od pierwszego momentu wznowienia rozprawy jasne się stało dla wszystkich, jaka będzie nie tylko linia obrony, ale i taktyka oskarżonych. Bogusław Polewnik postanowił grać rolę z jednej strony „uciśnionej niewinności”, z drugiej człowieka, który nie potrafi spokojnie wysłuchiwać „kłamstw” padających z ust świadków lub nawet prokuratora. Po każdym nieprzychylnym dla niego zeznaniu, młody człowiek krzychał „to nieprawda!” Czasami przerywał świadkowi wołając „milcz Igarzu”. Prokuratora w dalszym ciągu nazywał „nietoperzem”, co nawiasem mówiąc tak się spopularyzowało, że w bufecie sądowym sędziowie i koledzy prokuratorzy w ten sposób żartobliwie zwracali się do przedstawiciela oskarżenia publicznego.

Szczyt swych wyczynów Polewnik osiągnął wtedy, kiedy któregoś dnia usiłował zerwać się ze swego miejsca i rzucić się z pięściami na prokuratora. Naturalnie siedzący obok młodego człowieka milicjant w porę go obezwładnił. Przewodniczący sądu zagroził, że jeśli oskarżony nie uspokoi się, zastosuje wobec niego przewidziane regulaminem kary. Niewiele jednak to pomogło, bo w parę dni później Polewnik, niezadowolony z zeznań współoskarżonego, uderzył Tadeusza Wiktorka na sali sądowej, za co został ukarany.

Wiktorek w przeciwieństwie do swojego kamrata zachowywał się na ławie oskarżonych spokojnie, chociaż i on, jeżeli zeznania jakiegoś świadka jego obciążały, od razu występował z zarzutem, że zeznania te są inspirowane przez milicję.

Już na początku rozprawy, zanim sąd przystąpił do badania pierwszych świadków, obrona zakwestionowała identyczność dowodów rzeczowych znajdujących się na stole sędziowskim. Obrona argumentowała, że są to przedmioty powszechnego użytku, wyrabiane seryjnie i niczym nie różniące się od innych. Są jedynie podobne do tych, które używały ofiary zbrodni i które im zostały zrabowane.

Pamiętamy, że na stole sędziowskim znalazły się: jesionka w jodełkę, jasny płaszcz z podpinką, dwa zegarki firmy „Doxa” (w tym jeden złoty),

jeden zegarek popularnej radzieckiej marki oraz plastikowy biało-niebieski portfelik.

— Wysoki Sądzie — stwierdził jeden z adwokatów — mogę opuścić na dwie godziny gmach sądu i przynieść takie same przedmioty, jakie tu widzimy przed nami. Niczym absolutnie nie różniące się.

— Czy także biało-niebieski portfel? — replikował prokurator. Dla niego ten drobiazg zagranicznego pochodzenia teraz nabierał wagi kluczowego dowodu.

— Wysoki Sądzie — drugi z adwokatów, broniący Tadeusza Wiktorka zdawał sobie sprawę, że spośród wszystkich dowodów jedynie ten portfelik jest w Krakowie pewnym unikatem — nie kwestionuję, że portfel mógł należeć do zabitego Wojciecha Myszkę, ale nie ma żadnego dowodu, że ofiara miała go przy sobie w dniu i w chwili śmierci. Mógł go przed tym komuś podarować, zgubić czy po prostu sprzedać albo dać w zastaw. Mógł go nawet podarować oskarżonemu Wiktorkowi, który teraz widząc, jaką uwagę poświęca prokuratura temu drobiazgowi, boi się do tego przyznać.

— Oskarżony Wiktorek — zapytał przewodniczący — czy oskarżony chce złożyć jakieś wyjaśnienia w tej sprawie?

Wiktorek wstał.

— Nigdy, proszę Wysokiego Sądu, nie miałem takiego portfela.

Osobnym dowodem był leżący także na stole gruby pęk kluczy. O te klucze toczyły się przez parę dni rozprawy zacięte boje pomiędzy prokuratorem a obroną. Mąż Prochałowej zeznał w śledztwie i powtórzył to na rozprawie, że wracając do domu dziewiątego grudnia 1958 roku zastał drzwi zamknięte i musiał się posłużyć swoimi kluczami, aby dostać się do mieszkania. Natomiast milicja kluczy zamordowanej Bronisławy Prochałowej w mieszkaniu nie znalazła. Dla milicji było jasne, że morderca wychodząc po zbrodni i zamykając drzwi, posłużył się właśnie kluczami swojej ofiary.

A tymczasem klucze znalazły się po paru dniach wewnątrz mieszkania. Znalazł je właśnie mąż zabitej w jednej z szuflad kredensu. Co ciekawsze, odkrycia tego dokonał nazajutrz po wizycie Bogusława Polewnika, który w przeddzień wieczorem zjawił się w domu żaloby.

Prokurator wyciągnął z tego wnioszek, że kluczy przedtem w mieszkaniu nie było i że Polewnik podrzucił je do szuflady kredensu. Obrona zaś

upierała się, że przeszukania dokonano powierzchownie, milicja zrobiła to niedokładnie, a klucze cały czas leżały w szufladzie kredensu. Natomiast morderca posługiwał się albo wytrychem, albo planując zbrodnię czy też tylko okradzenie mieszkania, z góry zaopatrzył się w duplikaty tych kluczy. Takie twierdzenie obrony bardzo rozszerzało krąg ludzi, wśród których mógł się kryć morderca.

Dlatego wokół tego pęku kluczy rozgorzała prawdziwa wojna pomiędzy oskarżeniem, a obroną. Prokurator dążył do uzyskania od świadków milicjantów prowadzących czynności wstępne w mieszkaniu zamordowanej wyraźnych zeznań, że sprawdzali zawartość szuflad w kredensie i kluczy tam nie było. Świadkowie ci potwierdzali fakt zagładania do szuflad, ale mówili o tym niezbyt przekonująco. Twierdzili, że „kluczy nie zauważyli”, zaś prokuratorowi chodziło o kategoryczne zaprzeczenie „kluczy tam nie było”. Obrona z dużą dozą słuszności dowodziła, że świadkowie po upływie prawie czterech lat nie mogą pamiętać szczegółów, który wówczas, w pierwszej fazie dochodzenia milicyjnego, wydawał się być nieistotny. Wyciągnęli z kredensu szufladę czy nie wyciągnęli? A przecież obecnie, w czasie rozprawy sądowej ten fakt wyraźnie mógł zaważyć na ewentualnym wyroku.

Korowód świadków przesuwał się przed stołem sędziowskim. Jedni obciążali oskarżonych, inni zeznawali korzystnie dla nich. Większość właściwie niczego nowego nie wnosiła do sprawy. Oglądali zegarki, poznawali je lub też twierdzili, że pokazywane przedmioty są zupełnie inne niż te, które widzieli u zamordowanych, bądź różnią się od tych, które sprzedawał Polewnik na „tandecic”. Zeznania te były nicraz bardzo chwiejne. Przecież od krwawych wypadków 1958 roku upłynęły prawie cztery lata. Pamięć ludzka jest zawodna.

Te trzy zegarki doprowadziły do pasjonującego pojedynku prokuratora z obroną. Od udowodnienia, że były dawniej własnością zamordowanych i że następnie Polewnik je sprzedawał, zależał właściwie cały wyrok w tej tajemniczej sprawie. Kara śmierci albo unicewinnienie Polewnika z zarzutu zabójstwa.

Nic więc dziwnego, że skoro tylko świadek poznaje okazywany mu przedmiot, spada nań zaraz grad pytań obrony, starającej się podważyć każde niemal słowo zeznań. Odwrotnie, gdy ktoś nie przypomina sobie czy widział zegarek, proku-

rator stara się odświeżyć jego pamięć całą serią pytań. Stałe dochodziło do kontrowersji. Obrona zarzucała prokuratorowi, że w jego pytaniach mieści się od razu odpowiedź, a zatem pytania — zdaniem obu adwokatów broniących Polewnika i Wiktorka — są tendencyjne. Ale za chwilę przy pulpicie dla świadków staje jakaś inna osoba i jej odpowiedzi przypadają do gustu obronie. Wtedy zrywa się ze swojego miejsca prokurator i wnosi stanowczy protest przeciwko tendencyjnemu formułowaniu pytań przez adwokatów. Pytań, które zdaniem oskarżenia wyraźnie imputują świadkowi, jak ma on na nie odpowiadać.

Przewodniczący sądu prowadził rozprawę bardzo spokojnie i z ogromnym taktem. Bezstronnie ukrócał zbytni temperament obrony i niewczesne zapędy prokuratora. Sam w miarę możliwości także starał się dojść do obiektywnej prawdy.

Oto na przykład charakterystyczny moment. Zeznaje stary Myszka, ojciec zabitego Wojciecha. Zbliży się do stołu i bez chwili wahania rozpoznaje zegarek firmy „Doxa” jako stanowiący własność jego syna, a który Wojciech Myszka miał na rękę opuszczając mieszkanie w dniu 26 marca 1959 roku. Mało tego, świadek dokładnie podaje numer fabryczny wyryty wewnątrz denka zegarka. Opisuje dokładnie, jakie ten zegarek miał wskazówki, jaki cyferblat, jak były oznaczone godziny. Słowem fenomenalna pamięć. Przecież od śmierci Wojciecha Myszki i od momentu, kiedy ojciec widział ten zegarek na rękę syna, upłynęło już przeszło trzy lata. Prokurator promienieje. Obrona zrezygnowana nawet nie zadaje świadkowi żadnych pytań.

Przewodniczący sądu poleca:

— Niech świadek zdejmie z ręki swój zegarek i poda mi go.

Stary Myszka nieco zdziwiony oddaje sędziemu swój zegarek.

Przewodniczący zakrywając dłonią otrzymany przedmiot zadaje pytanie:

— Jakiej marki jest zegarek świadka?

— Radzieckiej. „Rakieta”.

— Kolor zegarka?

— Żółty. Pożłaczony.

— Cały?

— Tak, cały.

— A jaki cyferblat?

— Biały.

— Czy na cyferblacie są jakieś napisy?

— Tak. Marka zegarka.

— A inne?

— Nie ma innych.  
— Czy zegarek ma osobny sekundnik?  
— Nie. Wskazówka sekundowa jest umieszczona razem z innymi.

— Jakie są cyfry godzin? Rzymskie czy arabskie?

— Arabskie.

— Jakiego koloru są te wskazówki?

Świadek chwilę się namyśla i odpowiada dość niepewnie:

— Srebrne.

— Gdzie jest umieszczony numer fabryczny zegarka?

— Na denku.

— Na zewnątrz czy wewnątrz?

— Wewnątrz.

— Czy na denku na zewnątrz są jakieś napisy lub rysunki?

— Nie ma.

— Jaki jest numer fabryczny pańskiego zegarka?

Świadek rozkłada dłonie.

— Nie wiem.

— A może świadek pamięta choćby, z ilu cyfr składa się ten numer?

— Z sześciu.

Przewodniczący sądu okazuje trzymany w ręku zegarek prokuratorowi i obrońcom. Podnosi go w górę, aby także i publiczność zgromadzona na sali mogła zobaczyć. Następnie wyjaśnia:

— Świadek prawidłowo wymienił markę zegarka. Natomiast nie jest on cały złoty, lecz wieczko ma z nierdzewnej stali. Na wieczku jest na zewnątrz wryta kula ziemską i rosyjski napis „przeciwstrząsowy”. Cyferblat nie jest biały, jak to świadek określił, lecz srebrny. To wprawdzie niewielka różnica, ale na cyferblacie znajdują się poza nazwą firmy jeszcze dwa napisy: „16 jewels” i „made in USSR”. Wskazówki zegarka nie są srebrne, ale złote. Świadek prawidłowo pamiętał, że zegarek nie ma osobnego sekundnika, tylko wskazówka sekundowa umieszczona jest pośrednio cyferblatu. Natomiast na cyferblacie nie ma ani cyfr arabskich, ani rzymskich. Są jedynie złote cztery kreseczki. Wewnątrz wieczka zegarka nie ma ani napisów, ani numerów. Numer fabryczny jest wryty na jednej z części zegarka i składa się zaledwie z czterech cyfr. Proszę, oto pański zegarek.

Publiczność śmiała się głośno, a świadek stał z głupią miną. Wreszcie wybąkał:

— Tak dobrze pamiętałem o tej „Doxie”, bo w

milicji wielokrotnie mi go pokazywali. Wiedziałem, że będę o to pytany w sądzie i nauczyłem się.

Na sali znowu śmiechy, które przewodniczący musi uciszać. Tym razem obrona triumfuje, prokurator woli nie zabierać głosu.

— Odraczam rozprawę do czwartku, do godziny dziewiętej rano — postanawia przewodniczący.

Trzeba tu dodać, że doświadczenie z zegarkiem nie było własnym wynalazkiem przewodniczącego sądu. Doświadczenie to opisują wszystkie współczesne podręczniki kryminalistyki jako dowód, jak bardzo ostrożnie należy podchodzić do najbardziej kategoriycznych twierdzeń świadków. Nieraz, tak jak stary Myszka, potrafią oni doskonale zapamiętać najdrobniejsze szczegóły sprzed wielu lat, natomiast nie potrafią opisać własnego zegarka, który codziennie mają na swoim ręku i na który każdego dnia spoglądają przynajmniej pięćdziesiąt razy.

Jeżeli chodzi o złotą „Doxę”, będącą własnością Bronisławy Prochalowej, sprawa była mniej skomplikowana. Zegarek ten miał nacięcie na złotym wieczku. To nacięcie zapamiętała cała rodzina Prochalów. Ich znajomi, którym się pani Bronisława chwaliła, jaki to ślubny prezent szykuje swojemu jedynakowi, także przypominali sobie rysę na wieczku. Pamiętał o niej również handlarz odzieżą, przyjmujący ten zegarek od Polewnika w zamian za zimowe palto. Zaznaczono tę wadę zegarka w sklepie komisowym. Złota „Doxa” stała się w tym procesie koronnym dowodem przeciwko Bogusławowi Polewnikowi. Najsprytniejsze i najbardziej podchwytliwe pytania obrony nie zdołały tego dowodu podważyć. Teza obrony, że z reguły prawie wszystkie złote zegarki mają takie nacięcia, bo w ten sposób próbuje się czy to szczerze złoto, czy tylko pozłacany metal, była bardzo naciągnięta i nie przekonała ani sądu, ani obecnej na sali publiczności.

Takim dowodem pogrążającym Tadeusza Wiktorca był biało-niebieski portfelik z plastyku. Tu prokuratorowi udało się zebrać imponującą liczbę świadków, którzy nie tylko widzieli ten portfelik w rękach Wojciecha Myszkę, ale także wiedzieli, w jaki sposób kierowca samochodowy doszedł do posiadania tego drobiazgu. Ze względu na swoje niezwykle kolory, portfel każdemu wpadał w oczy. Właściciel kiosku z piwem doskonale pamiętał, że Wojciech Myszka w dniu 26 marca pił u niego piwo i płacił wyjmując z kieszeni właśnie biało-niebieski portfel. Jednakże kioskarcz nie

przypominał sobie, czy Myszka znajdował się wtedy w towarzystwie Tadeusza Wiktorka.

Zeznania kelnera jednego z krakowskich zakładów były wybitnie niekorzystne dla oskarżonego Wiktorka. Kelner oświadczył, że to właśnie Tadeusz nie mając pieniędzy, dał ten portfelik w zastaw. Kelner dodatkowo wyjaśnił, że wprawdzie rachunek przewyższał wartość portfela, on jednak przyjął ten zastaw, bo zagraniczny drobiazg ogromnie mu się spodobał. Kelner od lat znał Tadeusza Wiktorka i doskonale pamiętał, że portfel dostał nie od kogo innego, jak tylko od oskarżonego. Obrona nie próbowała dowodzić, że to mógłby być jakiś inny portfel. Wiadomo, wtedy w Krakowie nie znalazłoby się drugie podobne cacko.

Ale i obrona notowała w tym procesie swoje sukcesy. Spór pomiędzy prokuratorem a adwokatami o płaszcz z podpinką i jesionką w jodelkę wypadł raczej po myśli obrońców. Świadkowie wprawdzie przypominali sobie, że obaj młodzi ludzie: Polewnik i Wiktorok czasami nosili jakiś jasny płaszcz, czy jednak był to ten sam płaszcz, który teraz leżał na sędziowskim stole? Tego żaden ze świadków nie potrafił rozegrać. Także świadkowie nie byli w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy w tym jasnym płaszczu obaj młodzi ludzie chodzili po zniknięciu Jana Siatki, czy jeszcze wtedy, kiedy on żył i mieszkał w domu na rogu Grodzkiej i Senackiej.

Oba płaszcze sprzedane zostały na „tandecie”. Kupili je zawodowi handlarze starzyzną. Pamiętali oni, że sprzedawcami byli jacyś młodzi mężczyźni, ale czy nimi byli Polewnik lub Wiktorok? Zeznania świadków były w tym względzie dość mętne. Widać było, że ci ludzie nie chcą zadzierać z milicją i prokuratorem, ale w gruncie rzeczy niewiele sobie po przeszło trzech latach przypominają.

Nawet ojciec zabitego Wojciecha Myszki oglądając jesionkę w jodelkę nie zeznawał już tak kategorycznie jak wtedy, gdy chodziło o zegarek marki „Doxa”. Tak samo żona zabitego rozpoznała wprawdzie tę jesionkę, ale na pytanie obrony przyznała, że identycznych okryć jest w Krakowie bardzo dużo i że jesionka męża nie miała żadnej cechy szczególnej.

Natomiast sukcesem dla prokuratury skończyły się zeznania świadków dotyczące zegarka radzieckiej marki należącej uprzednio do Jana Siatki. Zegarek został kupiony w sklepie „Jubiler”. Sprzedawca dobrze znał Jana Siatkę jeszcze z

okresu jego pracy w milicji. Zachowała się nawet kopia gwarancji. Także i nabywca zegarka wiedział od kogo go kupuje. Nie znał wprawdzie nazwiska Bogusława Polewnika, ale widywał go często na „tandecie” i nieraz z nim rozmawiał lub też załatwiał jakieś drobne transakcje. Człowiek ten zeznawał bardzo spokojnie, ale pewnie. Bez zmieszania i bez zdenerwowania odpowiadał na najbardziej podchwytliwe pytania adwokatów.

Na wniosek prokuratora sąd dopuścił dowód z taśm magnetofonowych. Na sali sądowej wyraźnie było słyhać, jak Polewnik przyznaje się do zabójstwa Jana Siatki, jak opisuje szczegółowo przebieg zbrodni. Zeznania przerywane są parokrotnie płaczem człowieka mówiącego te słowa do mikrofonu. Zeznania złożone milicji prawie niczym nie różnią się od tych z następnego dnia, kiedy Polewnika przesłuchiwał prokurator.

Po raz drugi na sali sądowej Bogusław Polewnik stwierdził, że zeznania te zostały na nim wymuszone przez milicję i przez „nietoperza”. Tak bowiem aż do końca procesu nazywał prokuratora. I tym razem oskarżony nie umiał jednak wyjaśnić, na czym polegał ten przymus. Twierdził, że przyznał się do winy, aby już mieć spokój.

Natomiast Tadeusz Wiktorok w momentach, kiedy świadkowie obciążali go w ten sposób, że nikt nie miał wątpliwości, iż ci ludzie mówią prawdę, uparcie obstawał przy swoim:

— Proszę Wysokiego Sądu, świadek kłamie.

Tę taktykę zaprzeczania wszystkiemu Tadeusz Wiktorok stosował aż do końca procesu. Również w ostatnim słowie, prosząc o uniewinnienie, konsekwentnie dodał, że wszyscy świadkowie zeznający w jego sprawie — kłamali.

---

## AS TREFL PO RAZ TRZECI

---

Wreszcie po czterech i pół miesiącach ten gigantyczny proces poszlakowy dobiegł końca. Przesłuchano przeszło dwustu osiemdziesięciu świadków, bo jeszcze nawet w trakcie rozprawy zarówno prokurator, jak i obrońcy prosili sąd o dopuszczenie nowych dowodów. Wśród nich także przeszło trzydziestu dodatkowych świadków. Nawiasem mówiąc, nie wnieśli oni do sprawy niczego nowego. Sąd jednak słusznie

stanął na stanowisku, że nie można w tak skomplikowanej sprawie utrudniać prokuratorowi oskarżenia, a adwokatom obrony oskarżonych. Dlatego konsekwentnie przez cały czas rozprawy dopuszczał wszystkie dowody zgłoszone przez strony.

Wiktorek do końca procesu zaprzeczał wszystkiemu. Tylko do jednego się przyznał. Do wróżenia z kart Janowi Siatce i wywrożenia mu śmierci, gdyż przy królu czerwonym, który miał oznaczać Siatkę, wypadł as treflowy — symbol śmierci.

Tadeusz Wiktorek twierdził jednak, że te wróżby miały miejsce na parę dni przed zniknięciem Siatki i że do żadnej awantury, a tym bardziej do zbrodni wtedy nie doszło. Po prostu Wiktorek wychodząc z mieszkania Siatki zapomniał zabrać swojej talii kart. Nawet nie zauważył, że as trefl upadł pod stół, gdzie go po miesiącach znalazła milicja.

Prokurator w swoim przemówieniu ponownie podkreślił, że wina obydwu oskarżonych została całkowicie udowodniona. Uważał on, że Bogusław Polewnik zamordował Bronisławę Prochalową, Jana Siatkę i Wojciecha Myszkę. Tadeuszowi Wiktorkowi przypisał współudział w zabójstwie Jana Siatki i Wojciecha Myszkę. Wszystkich zbrodni dokonano na tle rabunkowym. Dla obu oskarżonych zażądał kary śmierci.

Z kolci obrońcy twierdzili w swoich przemówieniach, że nie ma żadnych dowodów na to, iż obaj młodzi ludzie byli bezpośrednio zamieszani w te zabójstwa. Można ich jedynie obwiniać o zagarnięcie przedmiotów należących uprzednio do zamordowanych i sprzedaż tych rzeczy. Wnosili o uniewinnienie oskarżonych z zarzutu zabójstwa. Dwaj krakowscy adwokaci, znakomici karnicy, sami mało byli przekonani o tym, co głosili z ławy obrończej. Dlatego też od razu wnieśli zastrzeżenie. Jeżeli sąd nie podzieli ich stanowiska, niech przychyli się do tezy, że zabójstwa Jana Siatki i Wojciecha Myszkę dokonano w bóje, a więc nie w celu rabunkowym, lecz w afekcie. Nie wykluczali, że śmierć Bronisławę Prochalowej nastąpiła na skutek uderzenia butelką w czasie sprzeczki. Gdyby zatem sąd uznał, że młodzi ludzie są sprawcami tych przestępstw, obrona prosi o zmianę kwalifikacji czynu z zabójstwa zwykłego, traktowanego znacznie surowiej aż do kary śmierci włącznie — na zabójstwo pod wpływem silnego wzruszenia. W tym bowiem przypadku kodeks przewidywał karę tylko do dziesięciu lat więzic-

nia. Zamiast art. 225 § 1 — zastosować artykuł 225 § 2 starego kodeksu karnego.

Tadeusz Wiktorek w swoim ostatnim słowie wypowiedział dwa zdania. Oświadczył, że jest niewinny i prosi o uniewinnienie.

Bogusław Polewnik wygłosił dłuższe, pełne temperamentu przemówienie. Cały proces nazwał zemstą uknutą przez milicję przy pomocy prokuratora. Chyba po raz pierwszy i ostatni nie nazwał go „nietoperzem”. Zeznania świadków, to kłamstwa, których ich nauczono w gmachu komendy milicji. Dowody rzeczowe, leżące na stole, także zostały sfabrykowane przez milicję lub prokuraturę. Tylko jednego Polewnik nie umiał wytłumaczyć, chociaż sąd nie omieszkiał zadać mu odpowiedniego pytania — dlaczego to właśnie jego milicja i prokurator tak prześladowają?

Wreszcie nastąpił ostatni dzień procesu. Przy sali przepelnionej aż do ostatnich granic pojemności ogłoszono wyrok. Sąd wojewódzki uznał, że Polewnik i Wiktorek zamordowali Jana Siatkę. Sąd uznał także Polewnika za winnego mordu na Bronisławie Prochalowej. Co do zbrodni popełnionej na Wojciechu Myszcze, sąd stanął na stanowisku, że zarówno Polewnik jak i Wiktorek, uczestniczyli w tej zbrodni i pomagali ukryć ciało, ale dopatrzył się tylko ich pomocnictwa w zbrodni. W ostatecznej konkluzji wyroku sąd skazał Bogusława Polewnika na karę śmierci, zaś Tadeusza Wiktorka na dożywotnie więzienie.

— O ile sobie przypominam — kończył swoje opowiadanie podpułkownik Krzyżewski — Sąd Najwyższy zgodnie z przyjętą w Polsce judykaturą nie wydawania wyroków śmierci w procesach poszlakowych, zamienił Polewnikowi tę karę na dożywocie. Od momentu aresztowania obu młodych ludzi upływa prawie osiemnaście lat. W tym czasie ogłoszono parę amnestii. Przypuszczam, że obaj byli przestępcy albo już są na wolności, albo wrota więzienia otworzą się przed nimi lada dzień. Dlatego też w moim opowiadaniu zmieniłem ich nazwiska.

— Dziękujemy za opowieść. Słuchało się z zainteresowaniem — powiedział Miecio Ruszyński.

— W archiwum sądu wojewódzkiego — dodał podpułkownik — leży gruba paczka przewiązana sznurkiem. To akta tej starej sprawy. A w kopercie zawierającej fotografie i dowody rzeczowe, które nie podlegają wydaniu właścicielom, spoczywa mocno zniszczona, zatłuszczona karta.

As trefl — zwiastun śmierci. Najdziwniejszy przypadek, z jakim się zetknąłem w czasie mojej długiej przecież kariery milicyjnej.

— To nie przypadek — zaprotestował inżynier Koryciński — to klasyczny przykład jednego z nicznanych nam jeszcze zjawisk z dziedziny parapsychologii. Przeczucia przyszłości i jasnowidzstwo nie są bynajmniej objawami rzadkimi, jak to

się zwykło uważać. Ani tak cudownymi, jak się o tym sądzi.

— Bzdury, kompletne bzdury — przerwał zaperzając się Miccio Ruszyński.

Inżynier już się szykował do gwałtownej repliki. Zanosilo się na wielogodzinną dyskusję czy nawet kłótnię, ale na szczęście rozległ się gong wzywający nas na posiłek.

# Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



W latach 1974—1977 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się:

- 63 Marien Butrym — Horoskop
- 64 Krystyn Ziemiński — Rubinowy ślad
- 65 Kazimierz Sławiński — Zbrodnia rodzi zbrodnię
- 66 Tadeusz Lembowicz — Neveser Marii Visconti
- 67 Helena Sekuła — Śladem diabłów dziadka Osiornego
- 68 Izabela Gierszewska — Szatan boi się myszy
- 69 Waldemar Kurzejewski — Turysta z Durbanu
- 70 Zygmunt Zeydler Zborowski — Dżem z czarnych porzeczek
- 71 Jerzy Romuald Miłcz — Cena utraconego czasu
- 72 Jerzy Edigey — Diabeł przychodzi nocą
- 73 Maciej Z. Bordoń — Handlarze jabłek
- 74 Maria Osiańczak — Trop wiedzy w historii
- 75 Marian Lohutko — Czarno na ulicy Błękitnej
- 76 Wojciech Letki — Zbrodnia prawie doskonała
- 77 Andrzej Bogusławski — Sprawa, której nie było
- 78 Aleksander Mag — Podwójna gra
- 79 Zygmunt Zeydler Zborowski — Kukulka bez zęgar
- 80 Marien Butrym — Pajęczyna
- 81 Fryderyka Janis — Człowiek z cienia
- 82 Władysław Krupiński — Jak pan przeniósł ten gryps?
- 83 Helena Sekuła — Srebrna moneta
- 84 Kazimierz Sławiński — Romański krzyż
- 85 Ignacy Seweryn Kryński — Szwedka
- 86 Stefan Kos — Śmierć krąży o zmroku
- 87 Andrzej Krzysztof Barcz — Madonna z Płaskowej Góry
- 88 Jerzy Laniewski — Rekontra
- 89 Marian Lohutko — Odwołac poszukiwania
- 90 Zygmunt Zeydler Zborowski — Dwie lewe nogi
- 91 Jerzy Edigey — Tajemnica starego kościółka
- 92 Zygmunt Zeydler Zborowski — Kardynałny błąd
- 93 Danuta Frey — Ostrze róża
- 94 Janina Martyn — Rozłączył was na zawsze
- 95 Zygmunt Zeydler Zborowski — Eliza nie zgadza się na rozwód
- 96 Marian Lohutko — Pełna bieszczadzka
- 97 Tadeusz Zolnierowicz — Pająk rozpina sieci
- 98 Ryszard Smolaga — Ślad prowadzi do „Delty”
- 99 Andrzej Barcz — Rendez-vous w hotelu „Royal”
- 100 Zygmunt Zeydler Zborowski — Major Downar zastawia pułapkę
- 101 Jan Kopyrowski — Maskotka